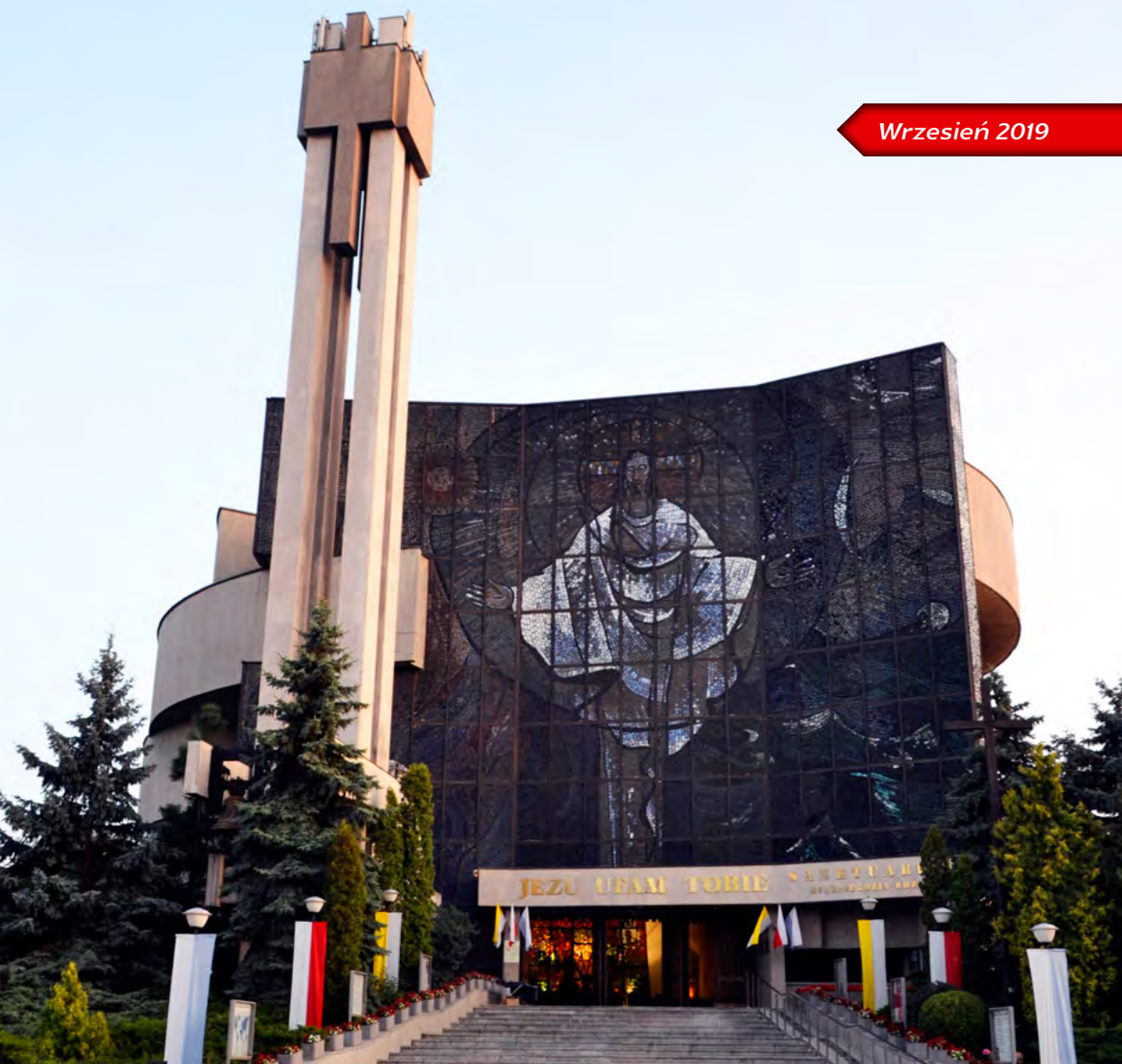


Misericordia

Miesięcznik Archidiecezjalnego Sanktuarium Miłosierdzia Bożego

Wrzesień 2019



80 lat minęło

80 lat minęło

Wrześniowy numer „Misericordii” poświęcamy dwóm ważnym rocznicom. 80 lat minęło od powstania parafii w Ożarowie Mazowieckim, która w sierpniu 1939 roku została erygowana i oficjalnie stała się miejscem rozwoju duchowego dla tutejszych mieszkańców. Przeczytacie więc Państwo kilka artykułów wspomnieniowych o tamtych czasach.

Wrzesień 2019 roku to 80 rocznica wybuchu II wojny światowej – czasu ekspansji dwóch straszliwych totalitaryzmów (hitlerowskiego i stalinowskiego), które na ziemi polskiej szczególnie okrutnie rozwinęły swe działania. Generał Eisenhower- amerykański dowódca, który wyzwalał niemieckie obozy koncentracyjne nakazywał bardzo dokładną dokumentację zdjęciową i filmową, zeznania świadków przewidując, że ludzka pamięć może zniekształcać historię i nadejście dzień, kiedy ktoś powie, że to się nigdy nie wydarzyło. Jego przewidywania były, jak się okazuje prorocze, bo już w obecnych czasach, próbuje się w sposób deprecjonujący i zmieniający ówczesną rzeczywistość przedstawiać wojenne losy Polaków i Polski. Należy więc szukać żyjących jeszcze świadków tamtych czasów lub ich potomków, by te wydarzenia odkłamać i ocalić od zapomnienia. Polecamy zatem kilka tekstów poświęconych temu tematowi, by przypomnieć bohaterstwo naszych rodaków.

Wrzesień to również czas powrotu do szkoły. Przedstawiamy Państwu interesującą, alternatywną propozycję nauczania domowego, którego podjęła się jedna z rodzin ożarowskich. W „Poradniku Rodzica” zaś znajdziecie Państwo tekst dr Anety Czerskiej o dylematach wyboru szkoły.

Zachęcamy do czytania, tym bardziej, że spotykamy się z Państwem po wakacyjnej przerwie. Skoro o wakacjach mowa, to oczywiście i temat wakacyjnych podróży, przeżyć znajdzie się na łamach naszej gazety. Polecamy wszystkie artykuły.

Spis treści

80 lat minęło	2
Wydarzyło się...	3
Jubileusz 80. lecia parafii w Ożarowie Maz.	4
Jak nadzorowałem budowę kościoła w Ożarowie	5
Byłem ministrantem	6
Wielkie sprzątanie	7
Chór Feliksa Kitmana	8
Zielono-biało-czerwoni	9
Życiorys	10
Oni walczyli o honor polskiego żołnierza	12
„Mała Polka” i historia jednej fotografii	14
Wojenne i powojenne losy polskiej rodziny cz. 1	16
Letnie rozmowy o książkach, pisarstwie i nie tylko	19
Wybór szkoły	22
Wychowanie i edukacja domowa	24
Wakacyjne spotkania z kapliczkami, krzyżami wotywnymi i miejscami modlitwy	26
Kalwaria Paclawska i Wenanty Katarzyniec	29
Oczarowanie muzyką	30

Misericordia

Miesięcznik Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Ożarowie Mazowieckim

ISSN 2300-0279

Redaktor naczelna: Agnieszka Przybyszewska

Zastępca red. naczelnej: Grażyna Lipska-Zaremba

Redakcja: ks. dr Ryszard Gołąbek SAC, Rafał Zaremba

Autorzy: Aneta Czerska, Teresa Ciarka, Ewa Dziewicka-Janicka, Antoni Filipowicz, Eliza Janczak, Paulina Osńska, Adam Palimąka, Jan Skalski, Krystyna Emma Szepczyńska, Paweł Zdanowicz

Skład i łamanie: Maciej Przybyszewski

Fotografie: arch. redakcji

Adres redakcji:

Redakcja „Misericordii”

Parafia Miłosierdzia Bożego

ul. Poznańska 183, 05-850 Ożarów Mazowiecki

e-mail: przybyszewska.redakcja@gmail.com

Druk: APOSTOLICUM,

ul. Wilcza 8, 05-091 Ząbki

Wydarzyło się...

12-17 lipca odbyła się rowerowa pielgrzymka śladami siostry Faustyny, do Sanktuarium Pana Jezusa Miłosiernego w Krakowie-Łagiewnikach. Przewodniczył jej ks. Maciej Krzywicki SAC. Po drodze pielgrzymi przemierzali szlak Sanktuariów polskich m. in. w Paczółtowicach oraz w Czernej, gdzie tradycyjnie uczestnicy mogą przyjąć szkaplerz.

30 lipca - 7 sierpnia odbyła się pielgrzymka młodych do Medjugorje, której organizatorem był ks. Radosław Wileński SAC. Relację przedstawimy w następnym numerze.



FOT. B. BORKOWSKA

31 lipca - 4 sierpnia, po raz siódmy, dzięki staraniom Domu Kultury Uśmiech i pani Małgorzaty Wojciechowskiej oraz pod patronatem Burmistrza Ożarowa Mazowieckiego odbyły się kolejne spotkania zespołów ludowych z różnych krańców świata. Występy odbywały się tradycyjnie na boisku przy ul. Obrońców Warszawy gdzie licznie zgromadzona publiczność mogła zachwycić się tańcem i śpiewem młodych ludzi kultywujących tradycje swojego kraju.

4 sierpnia powitaliśmy nowego dyrektora szkoły im. Wincentego Pallottiego. Jest nim znany parafianom z tegorocznych rekolekcji wielkopostnych - ksiądz Michał Orzoł SAC. Ksiądz Michał przybył do nas z parafii pw. Wieczerzy Pańskiej w Lublinie.

Poprzedni dyrektor ksiądz Paweł Szczupak SAC pełnił to odpowiedzialne zadanie przez czternaście lat. W czasie jego kadencji szkoła przeszła trzy transformacje: z Liceum Ogólnokształcącego stała się Gimnazjum i obecnie jest to Szkoła Podstawowa. Pod skrzydłami księdza

Pawła wychowało się i wyszło w świat bardzo wielu, świetnie wykształconych i przygotowanych do życia młodych ludzi. Zaczynając nie miał łatwego zadania, bowiem otrzymał placówkę po niezwykle charyzmatycznym kapłanie, pełniącym funkcję dyrektora – księdzu Janie Oleszko SAC. Pozostawia po sobie szkołę, która jest w rozkwicie, ze znakomitą i twórczą kadrą nauczycielską i uczniami, dla których ważne jest nie tylko wykształcenie, ale także dobre wychowanie, ciekawość świata i ludzi.

Życzymy księdzu Pawłowi Szczupakowi, zasłużonego wypoczynku i wielu łask Bożych tam, gdzie zostanie postawiony do nowych zadań. Natomiast ks. Michałowi, dla którego jest to interesujące i z pewnością wymagające zadanie, życzymy ciekawych pomysłów dydaktycznych, dobrych relacji z nową wspólnotą kapłańską i społecznością szkolną oraz wysokich lotów...

6 sierpnia pod flagą zielono-biało-czerwoną wyszła najliczniejsza ożarowska pielgrzymka zwana „Ożarowskie owieczki” pod pasterskim okiem swojego przewodnika ks. Krzysztofa Śniadocha SAC. Zmęczeni lecz szczęśliwi pątnicy pokłonili się przed tronem Maryi Królowej Polski na Jasnej Górze. (galeria na str. 9)



FOT. A. JARON

W tym samym czasie **6-15 sierpnia** śladami świętych Olafa i Brygidy wyjechała pielgrzymka do Szwecji, Norwegii, na Łotwę i Litwę. Pielgrzymom zapewniał duchową strawę ks. Proboszcz Zdzisław Słomka SAC. Uczestnicy pielgrzymki zakończyli ją w Wilnie, modląc się w Ostrej Bramie u stóp Matki Bożej Miłosierdzia. ■

Jubileusz 80. lecia parafii w Ożarowie Maz.

Pierwszy kościół był urządzony we dworze Kierbedziów stojącym na skraju Parku Ołtarzewskiego.

Wprowadzenie proboszcza, księdza diecezjalnego Romualda Kozłowskiego nastąpiło 13 sierpnia 1939 roku a bp Stanisław Gall erygował parafię w Ożarowie z siedzibą w Ołtarzewie. W maju 1945 roku ksiądz Kozłowski zakupił drewniany barak na potrzeby kościoła, który w listopadzie 1946 roku został wyświęcony na ożarowską świątynię.

Jednocześnie już w czerwcu 1945 roku parafianie podjęli starania o plac i zgodę na budowanie kościoła w Ożarowie. Rok później uzyskano zgodę na budowę kościoła na działce będącej częścią majątku volksdeutscha Jana Leibrandta.

Projekt architekta, profesora Politechniki Warszawskiej i autora wystroju kościoła seminaryjnego w Ołtarzewie, pana Stanisława Leona Marzyńskiego zakładał budowę malutkiego kościoła porównywalnego z drewnianym. Po wielu latach starań i zaangażowaniu wielu osób, w tym dawnego parafianina ks. prof. Witolda Zdaniewicza, udało się zmienić projekt na monumentalne dzieło architektów Leszka Klajnerta i Janusza Maliszewskiego. Monumentalne witraże, jedne z największych w Europie zaprojektował Michał Zaborowski, absolwent ASP w Warszawie, stypendysta generała Zakonu Pallotynów w Rzymie. Budowę nowego kościoła

rozpoczęto w 1977 roku. 2 października 1980 roku prymas Stefan Wyszyński położył kamień węgielny uświęcony przy grobie św. Piotra.

W sumie prace przy budowie naszej obecnej świątyni trwały 12 lat. W tym czasie służył wiernym drewniany kościół. Łącznie przez 40 lat, aż do konsekracji dolnego kościoła w 1985 roku.

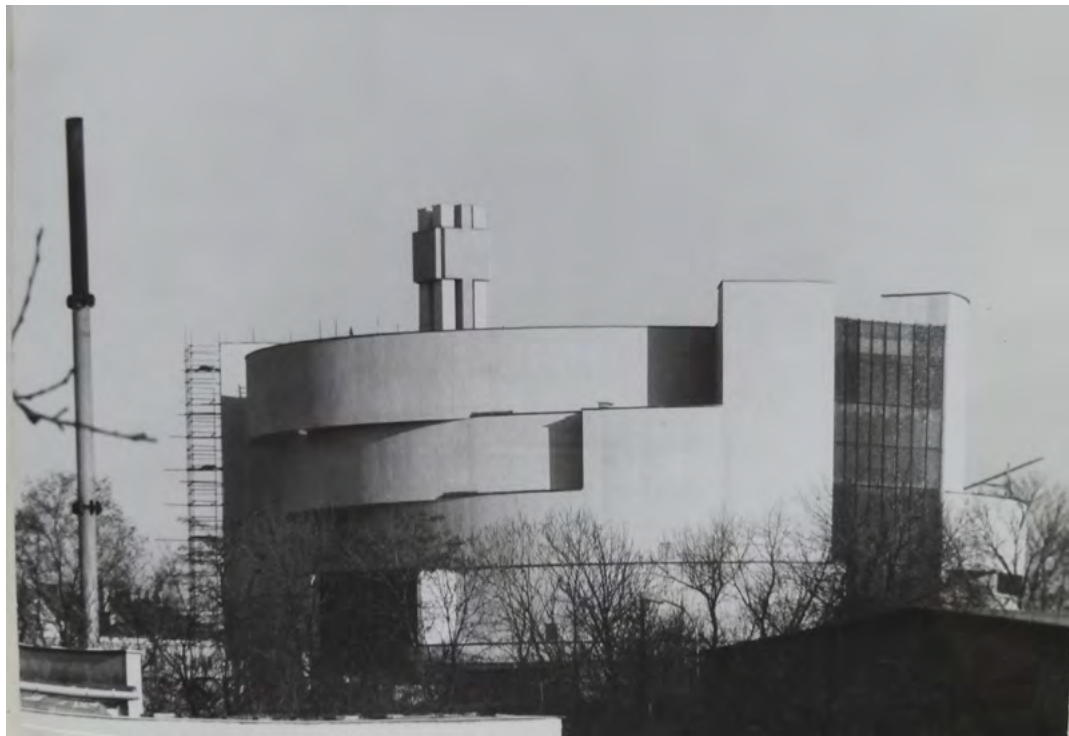


W 1989 roku, trzydzieści lat temu został konsekrowany górny kościół. Od 1997 roku nasz kościół parafialny jest Sanktuarium Miłosierdzia Bożego.

Od roku 1970 świątynia i parafia zostały powierzone pallotynom. Pierwszym proboszczem pallotynem był ks. Stanisław Jojczyk, który sprawował tę funkcję od 01.01.1971 do 28.08.1974 roku.

Kościół nosił wezwanie św. Stanisława Kostki. Zostało ono zmienione na Miłosierdzie Bożego w 1978 roku. ■

Jak nadzorowałem budowę kościoła w Ożarowie



Kończyłem Politechnikę Warszawską na wydziale konstrukcji budowlanych. Wtedy, gdy robiłem dyplom rozpoczynała się budowa kościoła w Ożarowie według pierwotnego projektu profesora Stanisława Marzyńskiego (niewielki kościółek). Proboszczem był wtedy ksiądz Stanisław Martuszewski (01.09.1974 – 25.08.1984), drugi pallotyński proboszcz. Znał mnie od bardzo dawna, gdyż jako dziesięciolatek służyłem do Mszy św. u pallotynów w Ołtarzewie (wcześniej służyłem do Mszy św. u sióstr urszulanek).

W trakcie dyplomu mieszkalem w bloku na Kolejowej niedaleko drewnianego baraku, w których mieszkał organista pan Feliks Kitzman i były tam salki katechetyczne. Na dyplom wykonywałem duży projekt. Nie miałem się gdzie ze wszystkim rozłożyć. Zwróciłem się do księdza Martuszewskiego z tym problemem, a on od razu

znalazł rozwiązanie. Nadchodzą wakacje – mówił. Przychodź do salek katechetycznych, tu sobie będziesz kreślił i będziesz okiem rzucał na budowę, czy tam wszystko dobrze idzie.

Wtedy już nastąpiła zmiana planów i były robione wykopy pod obecny kościół według projektu innych architektów: Leszka Kłajnerta i Janusza Maliszewskiego.

W Komitecie budowy kościoła był mąż pani Wandy, która pracowała w aptece. Miał on różne znajomości i możliwości, co było w tamtych czasach nieocenione. Pamiętam wyprawę po koparkę, którą razem z nim odbyliśmy. Ponieważ na budowie kościoła nie było sprzętu do wykonania głębokich wykopów, pojechaliśmy na budowę Dworca Centralnego (lata 1972-76) i z I sekretarzem Partii załatwiliśmy, że pożyczył nam na budowę kościoła spychacz. ■

Byłem ministrantem

Byłem ministrantem, gdy jeszcze był drewniany kościół przerobiony z baraku. Barak został przeniesiony z terenu Fabryki Kabli. Służył tam jako stołówka i szatnie dla „czarnych” - przyjeżdżających do pracy w Kablu robotników z całej Polski. Potem wybudowano dla nich baraki koło CBK-u przy obecnej Konotopskiej. Ministranturę znam po łacinie.



Plebania (stara) została zbudowana w 1952 roku. Mój ojciec miał tam dyżury i ja też tam chodziłem. Pilnowaliśmy materiałów budowlanych. Mrozy były po 30 kilka stopni i witraże w oknach pękały. Były 3 Msze św. o 7. i 9. dla młodzieży oraz o 11. suma, latem były jeszcze niezsnowy. Gdy chodziłem jako ministrant na Mszę św. to w mrozy ojciec dawał mi butelkę z ciepłą wodą do kieszeni, abym ogrzewał sobie ręce.

Kościelnym był pan Krzyżak, który jak ja mieszkał na Majewskiego. Przed Mszą św. kościelny podgrzewał ampulkę nad świeczką, żeby woda rozmarzła. Szron był nawet na wewnętrznych ścianach kościoła.

Kobiety nosiły wtedy mufki, w których chowały ręce. Bratu kiedyś wargę przymarzła do kielicha. Na codzienną Mszę św. przychodziło mało osób. Zawsze była obecna pierwsza lekarka z Kresów, pani Rokuziowa, która opiekowała się rodzinami wielodzietnymi (nas było 6, Jarzynów

7 a Marciniaków 7). Przepisywała dzieciom tran i ja chodziłem z bańką dwulitrową po ten tran. Piłem go po łyżce od zupy. Może dzięki temu wszyscy żyjemy i trzymamy się dobrze. Codziennie w kościele była też pani Zosia Głodkowska. W niedzielę na mszach było mnóstwo ludzi.

Braliśmy udział w pogrzebach. Ksiądz nam płacił: mnie za niesienie krzyża 25 zł, a Wieśko- wi Stempniowi 50 zł za niesienie chora- gwi. Szliśmy piechotą na cmentarz. W zimie trzeba było rozpałać ognisko i rozmrażać glebę.

Ksiądz chciał być lepiej słyszalny z ambony i kupił sobie tubę (mikrofonów też nie było), ale głos biegł tylko w jednym kierunku i szybko zrezygnował.

Za tamtego księdza Proboszcza była kultura, cisza gdy głosił kazania i ja w tej kulturze się chowałem.

Na pulpitych ławek nie wolno było kłaść nawet rękawiczek, szalików, tylko książeczka do nabożeństwa, różaniec, palma, a teraz ludzie nawet dzieciaka stawiają.

Gdy ktoś się spóźnił w czasie czytania ewangelii, ksiądz przerywał, zachęcał do zajęcia miejsca i zaczynał czytanie od początku. Taka osoba, którą wszyscy widzieli już nigdy się nie spóźniła. Wstyd był.

Weszły w modę szpilki a podłoga była drewniana. Ksiądz mówił: „Proszę nie przychodzić w szpilkach bo nacisk 50 kg kobiety w szpilkach jest jak słoń, deski pękają.” Nie pozwalał przychodzić w hałaśliwych butach z metalowymi podkówkami. Na ubrania nie zwracał uwagi bo też i ludziom nie przychodziło wtedy do głowy przyjść nieodpowiednio ubranym a raczej rozebranym do kościoła.

Gdy przyszła moda na spódnice na krynoliny, gdzie przy pochyleniu widać było kobiecie bieliznę, wypraszał z kościoła. Mówił: „To nie jest dom mody.”

Nie było kościoła w Płochocinie, dopiero w Błoniu. Ludzie przyjeżdżali z Gołębek,

z Płochocina do Ożarowa, do kościoła. Władze potrafiły zatrzymać pociąg semaforem koło parafii i koło CBK. Ksiądz pytał czy Gołębki dotarli, czekał na Płochocin, czekał aż wszyscy dotarli do kościoła. Czasem i pół godziny Władza nie mogła z nami wygrać. Kościół był pełen.

Organistą był pan Feliks Kitzman. Był bardzo dobry dla wiernych. Kitzman był przedseminarzystą u pallotynów, ale wystąpił. Uczył śpiewu, prowadził piękny chór. Sam nastrajał organy, miał słuch absolutny. Przygotowywał też jasełka. Mieszkał w pokoju z kuchnią w drewnianym baraku koło kościoła, miał dwóch synów: Jurka

i Adama. Zdarzało się, że 14-15 letni syn Adam grał na organach zamiast ojca.

Gdy po mszy św. nie zapamiętałem ewangelii to musiałem z ojcem iść drugi raz do kościoła na sumę. Tato gdy zobaczył, że w kościele ktoś z dzieci rozgląda się i wierci, to od razu w domu było manto.

Proboszcz ks. Emilian Skrzecz założył bibliotekę parafialną, prosił aby parafianie ofiarowali do niej książki. Sam pożyczałem książki do czytania.

Adam Palimąka urodzony w 1942 roku. Od wielu lat jest codziennie na koronce do Miłosierdzia Bożego. ■

Halina Dziewulska

Wielkie sprzątanie

Z czasu budowy naszego kościoła zapamiętałam akcję wielkiego sprzątania. Dolny kościół był na ukończeniu, w górnym prace były bardzo zaawansowane. To mógł być rok 1984.

Zakupiono krzesła do kościoła. Kobiety rozpakowały krzesła a mężczyźni wynosili sterty opakowań. Nie było jeszcze posadzki. Bardzo dużo osób angażowało się w prace porządkowe.

Po skończonej pracy wyruszyłam na zwiedzanie kościoła. Działała winda, którą wjechałam na piętro do ogromnej, pięknej jadalni. Był duży stół z krzesłami i kredensy. Meble były w starym stylu i nie przypominały tych dostępnych w sklepach.

Wejście do dolnego kościoła było w miejscu obecnego ołtarza, a msza była odprawiana z boku. Deskami była wyłożona droga do dolnego kościoła.

Gospodarze angażowali się w budowę kościoła. Furmankami wozili materiały. Pomagali przy wykopach. Jeden z nich, o nazwisku Berne chciał

nawet być uhonorowanym pogrzebem w górnym kościele. I tak się stało. Pamiętam zaangażowanie męża Lusi Pich. Siemiątkowski, taksówkarz woził z kolei księdza, gdy trzeba było załatwić sprawę w Warszawie.



Pamiętam też wyświęcenie kościoła. Przyjechała na tę uroczystość rodzina mojego brata z Płochocina, ich syn – mój chrześniak i córka, świeżo po ślubie, przyjechali też jej rodzice. Zajęliśmy miejsca na balkonie, aby lepiej widzieć. Teściowi mojej bratanicy nie podobał się sufit i coś w tym musiało być, bo okazało się, że w czasie deszczu przeciekał w części między siedzeniami a ołtarzem. Z czasem usterki usunięto.

Po wojnie pracowałam 10 lat w Kablu, do 1958 roku. Pamiętam proboszcza z tamtych czasów księdza diecezjalnego Emiliana Skrzeca (był proboszczem od 1945 do 1970). Kościół był wtedy drewniany. Po kołędzie zawsze towarzyszył mu jeden z gospodarzy. Dopiero w późniejszych latach byli to ministraci. Nosił też cukierki dla dzieciaków. ■

Chór Feliksa Kitzmana

Miałam około 15 lat i bardzo lubiłam śpiewać. W drewnianym kościółku stojącym od 1945 roku na obecnym boisku przy kościele pan Feliks Kitzman prowadził chór. Zapisałam się do niego.



Śpiewałam w chórze około 8 lat. Chyba do 1961 roku. Chór liczył około 25 osób. Śpiewaliśmy na cztery głosy. Ja śpiewałam sopranem. Uczyl nas śpiewu i prowadził próby organista pan Feliks Kitzman. Próby odbywały się zawsze w czwartki.

Za kościołem stał drewniany budynek, w którym była duża sala teatralna. Tam odbywały się próby. Chór nie dawał koncertów. Śpiewaliśmy po łacinie bo i Msze św. odprowadzane były w tym języku. W każdą niedzielę śpiewaliśmy na sumie.

Chór miał swoje miejsce po prawej stronie od wejścia do drewnianego kościółka, na podwyższeniu. Pan Kitzman grał na organach.

Chór miał swój sztandar, na którym była wyhaftowana postać świętej Cecylii, patronki muzyki kościelnej. Żona pana Kitzmana, Halina również śpiewała w chórze, miała dość ostry i bardzo charakterystyczny alt.

Chór brał udział w procesji Bożego Ciała, śpiewając przy każdym ołtarzu odpowiednie pieśni. Sztandar chóru również uczestniczył w procesji. Nie pamiętam czy podobnie było w procesji rezurekcyjnej.

Po procesji za kościołem robiliśmy sobie zdjęcie z księdzem proboszczem, panem organistą i naszym sztandarem.

Zachowały się dwa zdjęcia z jednej z takich fotograficznych sesji. Na drugim po prawej stronie pierwszy stoi organista, pan Feliks Kitzman a tuż obok niego poczet sztandarowy. Na środku siedzi proboszcz, ks. Emilian Skrzecz. Był to jeszcze ksiądz diecezjalny. Pełnił swoją posługę od 1945 do 1970 roku.

Na pierwszym zdjęciu w tle widać drewniany kościół. Można też zobaczyć na sztandarze postać św. Cecylii.

Członkowie chóru byli ze sobą bardzo zżyłi i zaprzyjaźnieni. Spotykali się dwa razy w roku: z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy prywatnie kolejno w domach swoich członków.

Zamiłowanie do śpiewania odziedziczyłam po mamie, która śpiewała w kościele, kiedy mieszła się on we dworze Kierbedziów w Ołtarzewie (dwór spłonął 8 września 1939 roku).





Zielono-biało-czerwoni



Jan Skalski, ur. 28 czerwca 1894 roku, mieszkaniec Ołtarzewa spisał pod koniec swojego życia swój życiorys. Otrzymaliśmy tekst od jego wnuka pana Krzysztofa Skalskiego. Zachowano oryginalną pisownię.

Jan Skalski

Życiorys

Czuję zbliżający się ostatni etap mojego życia, gdyż w obecnej chwili przeżywam 90 rok mojego życia. W związku z tym aby z końcem mego życia nie poszło w zapomnienie przeżycie I i II wojny światowej, dlatego postanowiłem życiorys pozostawić na tych kartkach wspomnień.

Otóż po skończeniu szkoły początkowej w Raszynie zacząłem praktykę (jako stolarz) w zakładzie meblarskim w Warszawie, którą to praktykę wraz ze Szkołą Zawodową skończyłem w lipcu 1914 roku. Jesienią tego roku zaczęła się I wojna światowa między Rosją a Niemcami. Władze wojskowe rosyjskie wezwały mnie do wojska. Po przeszkoleniu rekruckim w Rosji już z początkiem czerwca 1915 roku przewieziono nas młodych żołnierzy na front warszawski i dopełnili nami 9 sybirski pułk, który zajmował pozycje na wysokościach jak Żyrardów, Wiskitki, Miedniewice. Niemcy w pierwszych dniach lipca 1915 roku pierwszy raz użyli gazów trujących na wojsko rosyjskie i wytruli trzy bataliony dziewiątego sybirskiego pułku. Gaz-masek wtedy nie znano, a nami dopełnili zatrutych żołnierzy.

Na jednym odcinku tegoż frontu na nacierających Rosjan użyli Niemcy miotaczy ognia. Rosjanie postanowili przepędzić Niemców z zajmowanych stanowisk, bo Niemcy ostrzeliwali stację kolejową w Żyrardowie.

Kilka razy brawurową ofensywą na bagnety nacierały na siebie obie strony. Zabitych i rannych trzeba było uprzątać, bo było tak gorąco, że obydwie strony zarządziły 40 godzinne zawieszenie broni. Był to dzień 15 lipca 1915 roku – zostałem ranny w nogę, w pobliżu mnie leżało dwóch zabitych Niemców i kilku rannych, zjawily się psy i wrony. Wołałem do sanitariuszy, bo

ich widziałem z daleka, ale zabrali mnie dopiero po zachodzie słońca i umieścili w namiotach polowych, gdzie było dużo ciężko rannych i czekali na wagony sanitarne, a kapelan pułkowy w żałobnych szatach liturgicznych, w asyście dwóch młodych duchownych odprowadzał nabożeństwo za poległych przy polowym ołtarzu.

Po długiej i bolesnej kuracji w wojskowym szpitalu w Rosji i odbyciu szkoły podoficerskiej w zawodzie sapera i łącznika przydzielono mnie do 4-tej dywizji, która jesienią w październiku 1916 roku zajęła całą przestrzeń frontu u szczytu gór w Rumunii przeciw Niemcom. Góry były

strome, tak, że przypinano do butów podeszwy z gwoździami. Żołnierze nie mogli oddalać się, gdyż by zginęli. Prowiant w surowym stanie był dostarczany w koszach dla żołnierzy, którzy byli na szczytach gór, przez żołnierzy do tego przeznaczonych. Kuchnia polowa z gorącą zupą na strome góry nie mogła zjechać. Gotowano w wiadrach. Od października 1916 roku do kwietnia 1917 roku nikt nas nie zmieniał. Żołnierze ogrzewali się w szałasach przez siebie zrobionych. Przez cały

czas nie zmieniali bielizny. Po zdetrzonizowaniu władzy cara dowództwo dało mi urlop.

Ponieważ Warszawa w tym czasie była zajęta przez Niemców, urlop przeżywałem u dobrych ludzi w Kijowie skąd przez znajomość zacząłem pracować w Kronsztadzkich Zakładach Budowy Statków Morskich, gdzie pracowałem do lipca 1918 roku.

W tym czasie przez Komitet Emigracyjny z niemałymi trudnościami przyjechałem do Warszawy. Było to w połowie września 1918 roku.

W tym czasie Warszawa i cały kraj były zajęte trudnościami, uwolnieniem Lwowa od



Ukraińców, skąd było szerokie zapotrzebowanie na młodych mężczyzn zaprawionych w wojskowości. Tak więc po niedługim czasie, po odpowiednim przygotowaniu się, zostałem razem z innymi odprawiony do 19 pułku odsieczy Lwowa, który zajmował w początkach kwietnia 1919 roku pozycję Gródek Jagielloński Bartanów. W dniu 19 kwietnia 1919 roku byłem ranny i przywieziony do szpitala w Dębicy koło Krakowa. Z braku miejsca w Krakowie przewieźli mnie do szpitala Ujazdowskiego w Warszawie.

Po wyjściu ze szpitala odkomenderowany do 2 pułku Saperów przebywałem w Modlinie, gdzie po przeszkoleniu został wydany rozkaz budowy stanowisk obronnych na prawym brzegu Wisły przeciw wschodowi.

Po zawieszeniu broni w dniu 6 czerwca 1921 roku zostałem przez Dowództwo 2-go Pułku Saperów Legionów bezterminowo urlopowany w stopniu sierżanta. Po zwolnieniu mnie z wojska pracowałem w swoim zakładzie i zawodzie, w przedsiębiorstwach swojego zawodu do 1936 roku. Z początkiem roku 1936 zacząłem pracować w Fabryce Kabli w Ożarowie, gdzie zastała mnie wojna we wrześniu 1939 roku.

W czasie ostatniej wojny jako uczestnikowi ruchu oporu moi zwierzchnicy Armii Krajowej polecili mi spełnienie różnych zadań, którym to obowiązkom poświęciłem się zupełnie i wiernie. Pracując na terenie nasilonym folksdojcami, którzy wiernie służyli Niemcom i Hitlerowi, trzeba było być czujnym, żeby spełnić polecone zadanie, ustrzec w porę tych, którzy do mnie należeli a najważniejsze nie zwracać uwagi na siebie.

Miałem obowiązek jako sierżant WP szkolenie młodych partyzantów, kolportowanie prasy podziemnej, wyrabianie wśród młodzieży partyzanckiej posłuszeństwa i dyscypliny wojskowej i nauki o broni. Szczególnie zależało mi na wpajaniu w umysły młodych partyzantów działania z namysłem i tylko z rozkazu, bez swawoli, która w terenie zamieszkałym przez folksdojców nadarzała okazje rozbijania młodych żołnierzy niemieckich na własną rękę itp.

Młodych partyzantów zaopatrywałem w lewe dokumenty o zatrudnieniu, aby ich uchronić przed wyjazdem do Niemiec.

I tak zarządzający większym gospodarstwem rolnym położonym w pobliżu trasy poznańskiej zatrudnił u siebie kilku młodych ludzi należących do mojej grupy.

W okresie okupacji ci chłopcy byli jeszcze za młodzi, aby można było ich użyć do spełnienia różnych zadań poleconych przez kierownictwo Armii Krajowej. Zatrudniono ich, aby uchronić przed wyjazdem do Niemiec. W tym gospodarstwie Niemcy urządzili bazę nastawioną głównie na naprawę samochodów i składnicę sprzętu wojennego.

Niemcom dobrze się powodziło i za każdym zwycięstwem urządzili libację. Przy takiej okazji tych kilku młodych należących do mnie, mieli możliwość nabywania rzeczy jak: karabiny, naboje, granaty. W porze zimowej do bazy zajeżdżało kilka samochodów okrytych plandekami. Potrzebowali naprawy, ktoś z naszych zobaczył, że wszystkie samochody były napełnione zmarzniętymi żołnierzami niemieckimi całkiem bez bielizny.

Pewnego wieczoru przyszło do mnie 2 żołnierzy niemieckich w towarzystwie cywila, którego znałem, bo otrzymywał ode mnie gazetki i powiedzieli żebym się nie bał, bo sami są wrogami Hitlera i są katolikami. Czasowo przebywali we wspomnianej bazie na uzdrowisku, przynosili do mnie różne rzeczy wojenne, które bałem się przyjmować. Na czym by się skończyło gdyby ci dwaj Niemcy przychodzili dłużej. Jakiej trzeba było odwagi i ryzyka z mojej strony. W tym czasie kolportowałem przeciw prasę podziemną, zajęcie to było bardzo niebezpieczne, zwłaszcza w Ożarowie, między folksdojcami, a cóż dopiero przechowywanie kilkudziesięciu karabinów, granatów, nie raz przez dłuższy czas, aż nadarzy się sposobność przetransportowania tam, gdzie były potrzebne.

Na tym kończę swoje wspomnienia, usprawiedliwia mnie ciężkie zmęczenie po życiu ciężkim w okopach, gdyby można pobudzić resztę sił, otrząsnąć się z odrętwienia, przeżyć świadomie dni mojej starości, z myślą o wieczności, a jako mieszkaniec Ożarowa pragnąłbym, aby w historii mojego miasta było więcej tego rodzaju wspomnień dla przyszłych pokoleń pracy i poświęcenia.

Moja działalność w Ruchu Oporu została potwierdzona przez Urząd Ministra ds. Kombatan-tów dokumentem nr 380094. ■

Oni walczyli o honor polskiego żołnierza

Był rok 1939, ten, w którym Stefek, niegdysiejszy uczeń gimnazjum Vettera w Lublinie doczekał się wreszcie „swojej wojny”, będącej ongiś przedmiotem dziecięcych marzeń własnych i nie dorosłych do wojaczki kolegów.

Miał teraz za sobą okres kilkunastoletniej zawodowej służby wojskowej i już wiedział, że to nie będzie tak jak w heroicznej, słodko-gorzkiej legionowej pieśni o „wojence, cudnej pani i o jej rycerzach”.

Wyruszył 2 września z dowództwem 9 Pułku Piechoty Legionów stacjonującego w Zamościu, równiutko w swoje trzydzieste imieniny.

A Ona? Na te imieniny właśnie napelniła wszystkie wazony Jego ulubionymi astrami: różowymi, lila i tymi ciemnoczerwonymi jak wino albo jak krew. Na obiad zadysponowała kurczęta z mizerią i śliwkowe knedle, o które zawsze u wesołej służącej Zosi tak żartobliwie się dopominał.

A później było pospiesznie i nerwowo, i głośno od stukotu żołnierskich butów ordynansa Szymona...i, jak to często w takich razach bywa, zabrakło czasu na intymną chwilę pożegnania, a może obydwójce mężnie z nią zwlekali?

Przywarła ciasno do szorstkiego sukna munduru, powtarzając sobie w myślach: „tylko nie płacz, przecież jesteś dzielna więc dodaj Mu otuchy”

Kiedy wrócisz z tej wstrętnej wojny?”

Ani się obejrzyysz. Raz dwa, raz dwa!

Ale było dużo, dużo dłużej.

W Kurierze Lubelskim z dnia 3 września 1975 r. znalazłam artykuł Wojciecha Białasiewicza pt.: „Oni walczyli o honor polskiego żołnierza”. Autor pisze: „pod koniec drugiej oraz w trzeciej dekadzie września 1939 r. na Zamojszczyźnie stoczyły zacięte walki w rejonie Cześnik, Krasnobrodu, Tarnawatki oraz Tomaszowa Lub. jednostki Armii Kraków połączone



z resztkami armii Lublin, a także zgrupowanie Frontu Północnego dowodzonego przez gen. Dąb – Biernackiego. (...) Postawa polskiego żołnierza pełna determinacji oraz woła walki do ostatniego naboju, musiały budzić respekt oraz szacunek u przeciwnika, skoro niemiecki korespondent wojenny, przydzielony do korpusu gen. piech. Schuberta, relacjonując walki na Zamojszczyźnie w sposób absolutnie nieobiektywny, nie ustrzegł się jednak w pracy: Wir Zogen Genge Polen, wydanej w 1940 r. w Monachium, następujących sformułowań :

„Mężnie, aż do końca bronił się wróg. Jego straty wynosiły ok. 70 % ... Nie były to resztki armii lecz nowy, silny wróg” (mowa o walczącym

w rej. Cześnik pod Zamościem 9 ppleg. oraz o oddziałach sformowanych w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie). I dalej: „To nie są harce przeciwko resztkom sił nieprzyjaciela, ale regularna bitwa (...) 7 oficerów wziętych do niewoli czyniło wrażenie fanatyków. Dużo polskich oficerów zostało zabitych przez naszych ludzi w walce. Pewien oficer, którego pytałem dlaczego prowadzili tę bezcelową walkę odpowiedział, że oni walczyli o honor.

Wśród oficerów wziętych do niewoli z 9 ppleg. był kapitan Stefan Dziewicki – mój ojciec.

Jakiejś nocy pod koniec września do drzwi mieszkania mojej matki w Zamościu zastukał spóźniony gość. Na progu otwartych z obawą drzwi stał młody podporucznik, jeden z tych, którzy przyszedli do pułku w ramach ostatniego przedwojennego naboru. Był błydy, nieogolony, mizerny, a w oczach, które nie były już młode, miał jeszcze tę walkę. Był też ranny.

Nakarmiony, opatrzony, umyty zwał się jak kłoda na obleczone czystą pościelą łóżko. Nie śmierć przyniosła mu ukojenie, ale, Bogu dzięki, długi, bezpieczny sen. Kiedy jednak nazajutrz zmieszany wręczył mojej matce zawiniątko

z obrączką i pieniędzmi, ta omal nie padła zemdlna.

– Nie, kapitan żyje – pospieszył z wyjaśnieniem, tylko że... zwariował.

– Jak to zwariował? – zapytała.

– Bo oni we trzech pozostali na skraju lasu przy przeciwnym działku, powiedzieli, że będą się bić do ostatka...

Ojciec, kontuzjowany, dostał się do niewoli 27 września. Przebywał w niej pięć lat i cztery miesiące, w oflagu dla jeńców wojennych Wol-denberg II C.

Wrzesień

*To były dobre konie – posłusznie umierały,
to byli dobrzy żołnierze – walczyli do ostatka,
to były dobre działa – do ostatka celnie strzelały,
to była zła wojna – jak każda.*

*Kiedy zamilkł pancerny „Śmiały”,
bo już zabrakło naboju,
kiedy w szarży lotnej jak strzala
padły ostatnie konie,
gdy już lance się połamały,
szable z martwych wypadły dłoni,
a t a m c i nadciągali, nadciągali, nadciągali –
to był już koniec.*

*I wrzosa się stały barwniejsze
od świeżo zakrzepłej krwi,
a przez poranione powietrze
polami, lasami szły
wieści*

*jedna od drugiej straszniejsze:
Mokra i Bzura, Ilża i Mława, Kock, Wizna,
Warszawa, Warszawa!*

*To byli mężczyźni obrońcy
– od żołnierza po generała,
to byli ofiarni mieszkańcy
– od chłopca aż po starca,
to były twarde kobiety, bo im ser-
ca przez ból skamieniały,
to była straszna wojna – jak każda.*

Podpisy pod zdjęciami:

1. Stefek – dziesięcioletni uczeń gimnazjum Vettera w Lublinie w roku 1918. Patr.: „Ze wspomnień lubelskiej pensjonarki”.

Misericordia, wrzesień 2018 rok.

2. Kpt. Stefan Jan Dziewicki oficer 9 pp Leg. ■



„Mała Polka” i historia jednej fotografii

Sport to szkoła charakteru. Przedwojenni polscy sportowcy zapisali piękną kartę historii nie tylko w dziedzinach sportowych, ale także jako wielcy patrioci. Jedną z nich była polska mistrzyni olimpijska Maria Kwaśniewska-Maleszewska, zaś wspomniana fotografia, została zrobiona na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku. Odegrała rolę osiem lat później, gdy została wykorzystana do pewnej ważnej misji.

Historia owego zdjęcia rozpoczęła się podczas Igrzysk Olimpijskich w Berlinie, w czasie gdy tryumfy święciła nacjonalistyczna partia Niemiec - NSDAP. Nikt wówczas nie przypuszczał, jak tragicznie zakończą się działania jej przywódców. W czasie zawodów trwała więc, zdrowa rywalizacja sportowa, której przyglądał się z trybuny honorowej sam kanclerz Rzeszy Niemieckiej Adolf Hitler.

W Olimpiadzie brali udział także zawodnicy polscy, w tym Janusz Kusociński „Kusy” zwycięzca z Olimpiady 1932 r. w Los Angeles w biegu na 10 000 m, który tym razem z powodu kontuzji pełnił rolę sprawozdawcy, Jadwiga Wajsówna – rzut dyskiem, sprinterka Stanisława Walasiewicz. Wśród nich była młoda 23-letnia lekkoatletka Maria Kwaśniewska.

Urodziła się w Łodzi 15 sierpnia 1913 roku a jej talent sportowy został dostrzeżony, gdy obserwując starsze koleżanki trenujące z mozołem skok w dal, niewiele myśląc postanowiła spróbować i zrobiła to skacząc najdalej, ubrana w ... szkolny mundurek i eleganckie buty. Trenowała różne dyscypliny: gimnastykę, koszykówkę, siatkówkę, trójbój, pięciobój i najbardziej ulubiony - rzut oszczepem. Była wielozadaniowym sportowcem, jak wielu w ówczesnych czasach. Gdy

jechała na Igrzyska Olimpijskie w Berlinie była już znaną zawodniczką. Jej olimpijski występ zakończył się dwoma nagrodami – jedna honorowa, to tytuł Miss Olimpiady, druga medalowa – trzecie miejsce i brązowy medal w rzucie oszczepem. Ten rzut na 41,8 m został zarejestrowany na filmie reżyserki propagandowych produkcji Leni Riefenstahl pt. „Olimpiada”. Na podium wraz nią stanęły dwie zawodniczki niemieckie. W czasie ceremonii medalowej Maria Kwaśniewska jako jedyna spośród nagrodzonych zawodniczek nie uniosła ręki w rzymskim geście oddającym honory Hitlerowi.



Po wręczeniu nagród oszczepniczki zostały zaproszone do łóżki kanclerza i tam zrobiono zdjęcie, na którym widać śliczną, uśmiechniętą Marię Kwaśniewską a obok stoi równie zadowolony... Adolf Hitler. Hitler zwrócił się do naszej zawodniczki: „Gratuluję małej Polce”, na co ona „wypaliła” odważnie: „Wcale nie czuję się mniejsza od pana”, czym wprawiła w osłupienie kanclerza III Rzeszy i jego świtę. Jak wspominała Maria Kwaśniewska w wywiadzie „Ja bym za siebie nie wyszła”, który ukazał się w 2000 r. w Rzeczypospolitej: „Bo on miał 1,60 w czapce, a ja 1,66 wzrostu. Więc był ogólny śmiech. Prasa niemiecka podawała potem, że gratulował, nie małej Polce, a małej Polsce. Nie wiedzieli już jak z tego wybrnąć.”

Maria Kwaśniewska była niezwykle utalentowana. Zdobyła jeszcze 13 złotych medali mistrzostw Polski i ustanowiła dziesięć rekordów kraju w różnych lekkoatletycznych konkurencjach. Zanim rozpoczęła się II wojna światowa Maria była zagranicą, na Łazurowym Wybrzeżu, potem w Genui. Pod okiem najlepszych trenerów przygotowywała się do Olimpiady, która miała się odbyć w 1940 r. w Tokio.

Kiedy wybuchła wojna postanowiła jednak wracać do kraju, wbrew tym, którzy pukali się w głowę widząc ją jadącą pod prąd do Warszawy, gdy inni z niej uciekali. Wykazała się odwagą i siłą charakteru nie tylko w słowach, ale i czynach. Ponieważ przed wojną ukończyła kurs przyciwlotniczy, sanitarny i samochodowy, jej umiejętności bardzo się przydały. W pierwszych dniach września, broniąc Warszawy jeździła sanitarką, bo nie było komu a jej wyćwiczone mięśnie i chart ducha pomagały w przenoszeniu na ramionach rannych żołnierzy. Została za to później odznaczona Krzyżem Walecznych.

Podczas wojny pracowała w Warszawie przy ul. Jasnej, jako jedna z czworga mistrzów sportu w znanej „Karczmie pod Kogutem”, gdzie kelnerami byli oprócz niej: Janusz Kusociński, Jadwiga Jędrzejowska (tenis) i Ignacy Tłoczyński. Było to miejsce, gdzie odbywały się działania konspiracyjne, za które został rozstrzelany w Palmirach w 1940 roku Janusz Kusociński. Godne zauważenia jest to, że ci sportowcy mający przecież duże kontakty zagraniczne wybrali pobyt w Polsce i służyli jej narażając własne życie. Dom Marii w Podkowie Leśnej stał się schronieniem dla bezdomnych i głodnych Polaków oraz Żydów.

Po upadku Powstania Warszawskiego mieszkańcy wypędzeni ze swej skrwawionej stolicy byli umieszczani w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Pruszkowie, gdzie znajdował się obóz przejściowy. Niemcy stamtąd rozdzielali ludzi do Oświęcimia, młodszych do obozów pracy. Był tam też barak chorych. Maria Kwaśniewska,

która mieszkała niedaleko Pruszkowa w Podkowie Leśnej, postanowiła wydostać z tego miejsca jak najwięcej ludzi. Wpadła na niezwykły i odważny pomysł. Wykorzystała swoje zdjęcie z berlińskich Igrzysk Olimpijskich, które pokazywała strażnikom na bramie. Stanowiło swoistą przepustkę dla niej i dla ludzi, których ocaliła przed



wywozem w nieznane. Żandarmi widząc na fotografii Marię i swego wodza Adolfa Hitlera, salutowali jej i przepuszczali kolejne „transporty” po stu, stu pięćdziesięciu więźniów, których wyprowadzała za bramę do Pruszkowa, a potem do domu. Jej dom stał się wówczas obozem przejściowym, przez który przewinęli się, jak mówiła „znani i nieznani”. Mieszkała u niej Ewa Szelburg-Zarembina, Stanisław Dygat i wielu innych, którzy pamiętali o tym,

co dla nich zrobiła, pisząc do niej przez lata listy.

Po wojnie Maria Kwaśniewska odbudowała swoją pozycję sportową. W 1946 roku została ponownie mistrzynią Polski w rzucie oszczepem. W tym samym roku na zgrupowaniu sportowym poznała swego trzeciego męża (była wówczas dwukrotnie wdową) Władysława Maleszewskiego, którego także przeżyła (zmarł w 1983 roku). Swoją karierę sportową zakończyła trzy lata później w 1949 roku lecz nie rozstała się ze sportem. Pracowała w Polskim Związku Lekkiej Atletyki i Polskim Komitecie Olimpijskim. Może dlatego, że bardzo dbała o sprawność fizyczną i dokąd mogła ćwiczyła, dożyła 94 lat. Zmarła 17 października 2007 roku. Dołączyła do grona swych bohaterskich kolegów sportowców: „Kusego”, Marusarza i innych.

„A to zdjęcie z łoży z Hitlerem... Do tej pory dostaję z Niemiec wory listów z prośbą o autografy. To mnie denerwuje. Straciłam część rodziny na Wschodzie i na Zachodzie. Hitler czy Stalin – obu bym powiesiła na szubienicy.” – powiedziała w czasie wspomnianego wywiadu dla Rzeczpospolitej w 2000 r.

„Mała” – Wielka Polka została pochowana na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. ■

Wojenne i powojenne losy polskiej rodziny cz. 1

Lato 1939-tego roku było ciepłe i słoneczne. Zbliżał się wrzesień. Kierownik tajnej kancelarii Powiatowej Komendy Uzupełnień w Łukowie (woj. lubelskie), porucznik Jan Szepczyński otrzymał z wojska dla siebie, żony i córki, maski gazowe na wypadek gdyby w czasie zbliżającej się wojny z Niemcami agresor użył gazów bojowych. W związku ze spodziewanymi działaniami wojennymi szyby w oknach domu zostały zaklejone paskami papieru tak, aby stały się mniej podatne na stłuczenia i ewentualne rozpryskiwanie się szkła. Powiało grozą. Nadleciały niemieckie samoloty, zaczęło się bombardowanie. Mieszkaliśmy w domu jednorodzinnym obok zabudowań instytucji wojskowych w niedalekiej odległości od stacji kolejowej. Obydwa obiekty stanowiły najważniejsze cele bombardowań Łukowa. Słyszając huk zrzuconych z samolotów i eksplodujących bomb schowałam się ze strachu za otwarte drzwi oddzielające od siebie sąsiadujące pokoje. Skulona między ścianami a drzwiami nie reagowałam na wołanie zrozpaczonej mamy szukającej córki. Na szczęście pierwsze zrzucone z samolotów bomby nie uszkodziły domu. Stało się to dopiero wtedy, kiedy nas już nie było.

Następne wspomnienia wojenne to wędrówka z wojskiem na wschód, ku rumuńskiej granicy. Jechaliśmy z taborem wojskowym na wozach z budą (jak cygańskie wozy) ciągnionych przez konie. W drodze towarzyszyły nam łuny pożarów, leżące na poboczach konie zabite w czasie wcześniejszych walk frontowych. Nadlatujące niemieckie samoloty raziły uciekinierów pociskami z karabinów maszynowych.

Kiedy byliśmy niedaleko granicy rumuńskiej, 17-tego września bez wypowiedzenia wojny,



wkroczyła do Polski armia sowiecka. Część taboru wojskowego zdążyła przekroczyć granicę i znalazła się w Rumunii, natomiast wozy jadące między innymi z Łukowa, musiały zawrócić z obranej trasy. Kiedy znajdowaliśmy się w odwrocie, mama, jako kobieta nie wzbudzająca podejrzeń, udając się w przybrzeżne krzaki, przenosiła i topiła w bagiennych szuwarach rzeki Bug dokumenty wojskowe, aby nie dostały się w ręce wroga.

Powrotna jazda oddalająca nas od granicy była pełna smutku i grozy. Wracaliśmy pod wymierzonymi w nas bagnietami sowieckich żołnierzy. Właściciel wozu, którym jechaliśmy uciekł pozostawiając wóz i krwawiące od ciągłej jazdy w chomącie na szyi zwierzę. Jechaliśmy tylko z mamą, ponieważ tata wraz z innymi oficerami, po odebraniu im broni, został odprowadzony jako jeńiec przez sowieckich żołnierzy na poboczne drogi, którą przejeżdżały między innymi wozy kolumny sanitarnej, w której znajdowaliśmy się i my z mamą. Na prośbę kapitana, dowódcy tego transportu, sowieci przepuścili nasze wozy pozwalając na dalszą jazdę w głąb kraju. Kiedy przejeżdżałyśmy obok grupy jeńców oczekujących, jak się później okazało, na przetransportowanie

do Kozielska, tata odbiegł od pozostałych, wskoczył na wóz na oczach wszystkich pilnujących tę grupę sowieckich żołnierzy i nie zatrzymany przez nikogo położył się na wozie jako „ranny”. Mama natomiast, najszybciej jak potrafiła, odpruła od munduru taty oznaki oficerskie. Brawurowa ucieczka, na którą zdecydował się tata, uratowała go od śmierci w Katyniu, która spotkała najprawdopodobniej wszystkich pozostałych jeńców.

Jadąc dalej drogą w kierunku Łukowa, z którego wyjechaliśmy około dwa miesiące wcześniej, mijaliśmy słupy ogłoszeniowe z zawieszonymi na nich plakatami informującymi o tym, iż każdy kto zna miejsce pobytu oficera polskiego a nie zgłosi tego władzy sowieckiej, podlega karze śmierci.

Jechaliśmy całymi dniami, by jak najszybciej, przed zbliżającą się zimą, dotrzeć do domu. Nocowaliśmy w wiejskich chatach na klepiskach lekko przyprószonych słomą. Pewnego ranka do chaty, w której spędziliśmy noc, wszedł mężczyzna z wiadomością, że wszyscy uciekinierzy korzystający z noclegu w sąsiedniej chacie, tej nocy zostali zamordowani.

Kiedy wróciliśmy do Łukowa, była już późna jesień. Dom, w którym mieszkaliśmy przed wojną został zburzony w czasie działań wojennych. Nie mając innych możliwości, zamieszkaliśmy w starej, drewnianej chałupinie na skraju miasta. Zajęliśmy dwa małe pomieszczenia. Piec oblepiony gliną ogrzewał jedno pomieszczenie, w drugim była płyta kuchenna wsparta na glinianej podstawie, służąca do sporządzania posiłków. Ściany zewnętrzne były na tyle podziurawione, że mogłam przez nie bez trudu oglądać ulicę. Ze zburzonego przez bombę domu, w którym mieszkaliśmy przed wojną, udało się rodzicom wydobyć tapczan, który chociaż uszkodzony, był jeszcze

zdatny do użytku. Wydobyli też moje żelazne dziecięce łóżeczko i ryngraf, który wisiał na ścianie obok szabli – oficerskiego ekwipunku taty. Umeblowanie dopełniał mały stolik i jakieś stolki czy krzesła podarowane przez ludzi.

Do takiego mieszkania przywiozła mama z nieogrzewanego szpitala, urodzonego 28 stycznia 1940 roku syna – Stanisława. Becik, w którym przyjechał, a także pieluszki, były przez kogoś podarowane. Zamiast kołyski niemowlę zostało położone do drewnianej dzieży służącej wcześniej do przygotowywania ciasta na chleb. Dzież z maluchem rodzice umieścili na tapczanie służącym im do spania. Po jakimś czasie pojawił się wózek spacerowy przystosowany przez tatę w je-

mu tylko wiadomy sposób do użytku niemowlaka. Było bardzo biednie. Pamiętam niedojedzone skórki chleba suszące się na piecu i następnie składowane do jutowego worka na jeszcze gorsze czasy. Na szczęście takie nie nadeszły.

W 1941-wszym roku przenieśliśmy się do murowanego domu w środku miasta. Mama wynajęła lokal sklepowy z dwoma przylegającymi pomieszczeniami magazynowymi, które stały się dla nas pokojem i kuchnią. Sklep, który zaczął funkcjonować jako spożywczy, stał się dla nas źródłem

utrzymania przez cały czas okupacji niemieckiej. Dom, w którym mieszkaliśmy był własnością rodziny żydowskiej Waksmanów – rabina i jego żony, a także rodziców mojej pierwszej (o ile pamiętam) przyjaciółki Rut.

Żona rabina prowadziła kuchnię dla biednych, prawdopodobnie sama gotowała i rozdawała posiłki. Pod naszym oknem w czasie ich wydawania stała kolejka ludzi z menażkami, garnuszkami i innymi naczyniami, do których wlewała zupeł- ➤



➤ Pewnego dnia przyszła do nas mama Rut z oznajmieniem, że są zmuszeni opuścić dom i zamieszkać w getcie. Wiadomość ta była i dla nas smutnym przeżyciem, Waksmanowie byli naprawdę dobrymi ludźmi, życzliwymi dla innych.

Po pewnym czasie, kiedy było wiadomo, że rodzina Waksmanów nie wróci już do swojego domu, zajęliśmy część ich mieszkania – dwa pokoje z kuchnią. Pozostałe pomieszczenia do końca wojny były niezamieszkałe. W międzyczasie ktoś zainteresował się tatą, który ukrywał się przed władzami niemieckimi. Ze względu na niemieckie nazwisko matki – Knapé – tato miał propozycję wpisania się na listę folksdojców, na co się nie zgodził. Taka postawa kwalifikowała go do Oświęcimia. Szczęśliwie, kiedy groziło niebezpieczeństwo wywiezienia do obozu, ktoś ostrzegał tatę o tym.

W mieszkaniu, które zajmowaliśmy, w pokoju pod piecem można było wyjąć dwie szerokie deski podłogowe. Pod nimi znajdowała się piwniczka, w której rozłożone futro baranie zastępowało łóżko w czasie, kiedy tata tam się chował. Nie pamiętam aby przy mnie ktoś przychodził po tatę. Albo nie było takiego zdarzenia, albo... było zbyt wielkim stresem dla dziecka, w związku z czym zostało wyparte ze świadomości, jak niektóre inne zdarzenia, o których dopiero po latach dowiedziałam się od mamy.

W mieście był zakład jajczarski – własność Austriaka, bardzo uczciwego człowieka. Chcąc uchronić Żydów zamieszkałych w Łukowie przed wywiezieniem do obozu zagłady, wielu z nich zatrudniał w swoim przedsiębiorstwie. Przez jakiś czas udawało się to, ale w końcu pracownicy jajczarni zostali zamordowani przez Niemców, podobnie jak inni mieszkańcy Łukowa żydowskiego pochodzenia.

W niedalekiej odległości od torów kolejowych, na obrzeżach miasta, mieszkał znajomy krawiec, który szył dla mnie palto na zimę. Pewnego dnia, a była to późna jesień, przyszłyśmy z mamą do przymiarki. Pamiętam rozmowę jaką przeprowadzili dorośli. Z wielkim przejęciem nieco przyciszonym głosem, krawiec i jego żona opowiadali, że od jakiegoś czasu w dzień i w nocy przejeżdżają trasą obok ich domu pociągi, których skład stanowią towarowe kryte wagony, w których znajdują się ludzie. Na stopniach wagonów stoją żołnierze niemieccy z karabinami gotowymi do strzału w kierunku każdego, kto próbuje wyskoczyć z jadącego pociągu.



Wracając od krawca już o zmroku, przechodziłyśmy obok muru więzienia miejskiego. Innej drogi do domu nie było. Pozostał mi w pamięci dochodzący zza muru dziedzina więziennego powtarzający się co parę chwil płacz, krzyk i... salwa karabinowa. W więzieniu w tym czasie rozstrzeliwano Żydów, prawdopodobnie były to całe rodziny.

Rano następnego dnia byłam nieprzytomna. Mama, chcąc wyrwać mnie z omdlenia, oblewała wodą płacząc i powtarzając rozpaczliwie „paraliż”. Na chwilę odzyskałam świadomość, poczułam, że jest mi

mokro i zimno, usłyszałam płacz mamy i... znów zapadłam w niebyt. Jak długo to trwało – nie wiem. Wieczorem już przytomna, ale bardzo słaba, trzymając się ścian próbowałam samodzielnie chodzić. Od tego czasu co dwa, trzy tygodnie aż do 1945-tego roku powtarzały się „ataki strachu” jak to określał i zapisywał w terminarzu mój tata.

Krystyna Emma Szeptyńska urodzona w 1935 roku, dr nauk farmaceutycznych, działała w Polskim Towarzystwie Farmaceutycznym, Oddział w Łodzi, była pracownikiem dydaktycznym Uniwersytetu Medycznego, Wydział Farmacji w Łodzi.

Z pisarką Anetą Krasińską rozmawiała Eliza Janczak

Letnie rozmowy o książkach, pisarstwie i nie tylko

Z Anetą Krasińską miałam przyjemność spotkać się pierwszy raz dwa lata temu w Bibliotece Publicznej w Ożarowie Mazowieckim, która wychodzi ze wspianą inicjatywą dla czytelników i pisarzy, organizując spotkania autorskie. Od tamtego spotkania autorskiego przeczytałam wszystkie powieści autorki i z niecierpliwością oczekuję każdej kolejnej premiery.

Aneta Krasińska to kobieta z pasją. Najlepiej odpoczywa w otoczeniu przyrody, rodziny i przyjaciół. Tak jak bohaterki jej powieści, jest głodna życia i nowych wyzwań. Dotychczas wydała dziewięć powieści.

Zadebiutowała w 2014 roku powieścią *Finezja uczuć*, ukazującą skomplikowane relacje małżeńskie i konsekwencje podejmowanych decyzji. W 2015 roku wydała *Szukając szczęścia*, powieść skłaniającą do refleksji nad trudami związanymi z rodzicielstwem i wartością ludzkiego życia. W 2016 roku ukazała się powieść *Odroczone nadzieje*, w której porusza kwestię odpowiedzialności i opieki nad nieuleczalnie chorą osobą. Później powstała powieść *W sieci uczuć* i trylogia *Małe tęsknoty*. W marcu br. weszła na rynek wydawniczy powieść *Gdy opadły emocje*, a w czerwcu *Gdy nadeszło życie*.

Kim na co dzień jest Aneta Krasińska?

Na co dzień jestem mamą dbającą o to, by moje dzieci wyrosły na wartościowych ludzi. Ponadto prowadzę dom, pielęgnuję ogród i sadzę warzywa w ogródku. Oczywiście pracuję też zawodowo.

Twoich czytelników na pewno ciekawi fakt, kiedy zaczęłaś pisać i co Cię do tego skłoniło?

Decyzja o napisaniu powieści zrodziła się dość spontanicznie, choć dojrzałam do niej latami. Zawsze znajdowałam mnóstwo wymówek, by nie zacząć, a z tyłu głowy wciąż miałam słowa męża, bym spróbowała. W końcu dałam za wygraną i napisałam kilkanaście stron, by dał mi święty spokój, ale tak się nie stało. Zaczęłam pisać kolejne rozdziały, nieśmiało podsyłając je najbliższym mi osobom i z zapałem tchem czekałam na ich opinie. Tak się zaczęła moja przygoda w roli autorki powieści. Pisanie to przyjemność, odskocznia od rzeczywistości,



a czasem ucieczka od prozy dnia, zatem gdyby mnie pozbawiono możliwości pisanie, musiałabym sobie znaleźć inne zajęcie. Na pewno nie poddałabym się i nie poprzestała na umartwianiu...

Czy pisząc książkę, przygotowujesz sobie materiały? Czy jednak „płyniesz” z historią?

Pisanie zaczynam od planu, czyli schematu ważniejszych sytuacji, do których dochodzą moi bohaterowie. Ważne jest też zakończenie. Od początku wiem, do czego chcę dojść na końcu. Opraco-

wuję też portret pamięciowy moich bohaterów – wygląd, więzi rodzinne, relacje towarzyskie oraz miejsce akcji. Później bazuję na tym planie, ale dopełniam go nowymi wydarzeniami czy bohaterami epizodycznymi.

Anetko, jesteś nauczycielką języka polskiego.

Czy to pomaga Ci w pracy, czy przez to jesteś dla siebie bardziej surowa?





➤ Przygotowanie merytoryczne na pewno bardzo mi pomogło w czasie prac nad konstruowaniem postaci czy wyposażaniem ich w określone cechy charakteru, ale jednocześnie wzbudzało we mnie przeświadczenie, że na pewno mogłam zrobić to lepiej, inaczej, ciekawiej.

Czy twoje książki są inspirowane prawdziwymi historiami?

Najciekawsze tematy podsuwa samo życie, które wciąż zaskakuje i zmienia nasze poglądy na świat. Wystarczy uważnie patrzeć na to, co się dzieje wokół nas, a później zbudować własną wizję postaci i problemów jej dotyczących. Myślę, że warto przybliżać trudne tematy, by ludzie dowiedzieli się o nich i czuli, że nie są odosobnieni. **Twoimi czytelnikzkami są najczęściej kobiety. Czy chciałabyś, żeby po twoje książki sięgnęli również mężczyźni?**

Właśnie często mówi się, że mężczyźni nie oglądają komedii romantycznych, nie czytają powieści obyczajowych czy romansów, bo najzwyczajniej w świecie nie interesują się tym. A ja sadzę, że to stereotyp, który kiedyś został sztucznie wykreowany i ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Mężczyźni robią to, tylko nie przyznają się do tego przed swoimi kolegami.

Kobiety coraz głośniejszą mówią o tym, że mężczyźni powinni je rozumieć, dostrzegać ich emocje, ale także mówić o tym, co sami czują. Trudno jednak od nich tego wymagać, gdy wokół panuje przeświadczenie, że mężczyźni to nie wypada...

Drogie kobiety, jeśli chcecie, aby wasi mężczyźni byli wrażliwi, zadbajcie o to, podsuwając im odpowiednią literaturę czy film.

Przyznam szczerze, że mnie najbardziej z twoich książek wzruszyła powieść Szukając szczęścia i zastanawiam się, jak to jest pisać o bólu i cierpieniu, a zarazem radości matki?

W życiu już tak jest, że radości przeplatają się ze smutkami. W jednej chwili osiągamy jakiś mniejszy lub większy sukces, by po chwili płakać, bo właśnie skończył się nasz ukochany serial w telewizji. Chyba nie da się oddzielić radości od smutków i odwrotnie. Rzeczywiście piszę o życiu takim, jakie jest, bez ubarwiania, bo to Czytelnik łatwo wyczuje i na pewno nie przekona go taki tekst. W powieściach staram się zbalansować pozytywne i negatywne emocje. Choroba czy niepełnosprawność dziecka to trudny temat, ale wiem, że wielu rodziców chce o tym rozmawiać, bo to daje im siłę do codziennego zmagania się z trudnościami. Mam nadzieję, że ci, którzy

cierpią na rozmaite choroby znajdują w powieści *Szukając szczęścia* wsparcie i zrozumienie, ale również chciałam zwrócić uwagę na rolę ludzi, którzy bezpośrednio zmagają się z chorobą osób im najbliższych. Jak każdego dnia mimo zmęczenia, zniechęcenia czy bezsilności podejmują trud życia i pomocy innym, a przy tym nierzadko nie tracą poczucia humoru i optymistycznego spojrzenia na życie. Podziwiam takie osoby.

Książki obyczajowe kojarzą się nam z lekką lekturą, u ciebie nie do końca tak jest. Najpierw powieść o chorym dziecku a potem powieść o ciężkiej chorobie, jaką jest alzheimer.

Dlaczego wybierasz takie poważne tematy?

Niestety jest to choroba coraz bardziej popularna wśród starszych osób i jeśli się dobrze przyjrzeć w otoczeniu każdego z nas jest osoba, która miała z nią styczność. Podobnie było w moim przypadku. Postanowiłam opisać swoje obserwacje w powieści pt.: *Odroczone nadzieje*, w której główna bohaterka zmagą się z postępującą chorobą matki. Kobieta musi zrezygnować z własnych marzeń i na nowo ułożyć swoje ustabilizowane życie. Wymaga to mnóstwa energii, a czy jest możliwe? Tego nie zdradzę.

Myślę, że twoje książki uczą nas moralności i empatii do drugiego

człowieka. Dlaczego to jest dla Ciebie tak ważne?

Taka tematyka jest mi bliska. Wychodzę z założenia, że można i należy pisać o wszystkim. Człowiek jest tak skomplikowanym stworzeniem, że dostarcza i wciąż będzie dostarczał nowych tematów, którymi warto się zająć. Niestety mam wrażenie, że coraz trudniej jest postępować zgodnie z etyką. Łatwiej obrzucać ludzi błotem i karmić się tanią sensacją. Łatwiej jest mówić o tolerancji, zrozumieniu i akceptacji, niż rzeczywiście działać. Modne jest ocenianie innych. Wiemy, jak ktoś inny powinien zareagować, co powinien powiedzieć czy pomyśleć. Problem pojawia

się wtedy, gdy sami stajemy w podobnej sytuacji. Wówczas wszystko wygląda inaczej. I szczęście, jeśli nasze poglądy czy zachowania zaczynają się zmieniać. Sądzę jednak, że wciąż brakuje w nas empatii, a to czego nie rozumiemy, bo często tego nie chcemy, wywołuje w nas niechęć, a niekiedy nawet agresję.

Poznałyśmy się dwa lata temu i wiem, że dla ciebie kontakt z czytelnikiem jest bardzo ważny. Co ci dają takie spotkania?

Spotkania są zawsze niewiadomą i to mnie trochę w nich przeraża, ale z drugiej strony wiem, że jeśli ktoś nie chce mnie widzieć, to po prostu nie przychodzi na nie. Ci, którzy przychodzą są otwarci, zadają mnóstwo pytań i traktują mnie jak kogoś bliskiego. To jest naprawdę niesamowite i za to bardzo dziękuję.



Bardzo aktywnie prowadzisz swój profil na Facebooku. Utworzyłaś też grupę swoich czytelników. Widać twój zapał i chęć rozmowy, podziel się z nami swoimi wrażeniami.

Zarówno strona, jak i grupa dają mi możliwość bieżącego kontaktu z czytelnikami. Każdy, kto chce wyrazić swoją opinię, może to zrobić za pośrednictwem Facebooka. Takie rozmowy są inspirujące i dają mi wskazówki do dalszej pracy. Zapraszam więc do znalezienia mojego profilu: Aneta Krasieńska – strona autorska lub grupy: Aneta Krasieńska – spotkania przy literaturze i wymiany myśli. ■

Wybór szkoły

Pracując z rodzicami przedszkolaków, często jestem przez nich pytana o radę, jaką szkołę powinni wybrać dla swojego dziecka. Rodzice rozważają zarówno szkołę najbliższą względem domu, jak i szkołę prywatną, która jest daleko i wymaga wysiłku zarówno logistycznego, jak i finansowego. Za tym wyborem kryje się troska o przyszłość dziecka. Rozważając ten problem, wpadamy w kilka pułapek i schematów myślowych.

Podejmując tą decyzję, czujemy ogromny stres, gdyż mamy świadomość, że jest to decyzja na długie lata. Nie bierzemy pod uwagę, że szkołę można byłoby zmienić. Zmiana szkoły kojarzy się nam z ogromną traumą. Najczęściej nie lubimy zmian. Wolimy to, co znane, nawet jeśli nie w pełni nam to odpowiada.

Ojciec Adam Szustak OP nazwał taką sytuację „dyndaniem na lianie”. Moglibyśmy jak Tarzan być unoszonymi przez liany - frunąc przez świat, chwytając to za jedną to za drugą lianę. Wtedy trzeba się puścić poprzedniej liany, czyli pozostawić to co znane i dające nam poczucie bezpieczeństwa. Tymczasem wielu z nas woli trzymać się kurczowo tej jednej, znanej liany i dyndać, zamiast frunąć w nieznane, gdzie może jest jeszcze piękniejszy świat.

Moje dzieci zmieniały szkoły wielokrotnie. Pierwszą szkołę wybierałam z ogromnym zaangażowaniem. Wybór wydawał się doskonały, ale dziecko nie wiedziało, czy jest szczęśliwe, bo to był jedyny świat jaki znało. Było zdolne do refleksji i oceny dopiero, gdy po roku przeprowadziliśmy się do Danii. Pół roku po przeprowadzce i zmianie szkoły dowiedziałam się, że w nowym miejscu jest bardzo szczęśliwa i nie chciałaby

wracać do poprzedniej szkoły. Oceniała ją wtedy przez pryzmat nowego, lepszego miejsca.

Po kilku latach znowu się przeprowadziliśmy. Dla pierwszego dziecka była to kolejna zmiana, a dla młodszego nowa szkoła. Znowu zdawało mi się, że jest ona idealna – prywatna, międzynarodowa, z wykładowym językiem angielskim. Kiedy po kilku latach dojrzałam do decyzji, aby zmienić ją na lokalną duńską, państwową szkołę, spotkałam się z ogromnym sprzeciwem dzieci. Z wielkim trudem udało mi się je namówić, aby zaryzykowały i spędziły jeden dzień w nowych szkołach. Kiedy odbierałam młodszą, zapytała, czy może tu przyjść jutro. Całe popołudnie opowiadała z ekscytacją każdemu członkowi rodziny, co przeżyła i jaka jest szczęśliwa.

Po półtora roku szkoła została zamknięta przez gminę, a dzieci rozdzielone do trzech innych szkół. Po kolejnym roku znowu się przeprowadziliśmy. Moje dzieci z nostalgią wspominają każdą szkołę oraz przyjaciół i nauczycieli, jakich tam miały. To nie przeszkadza im cieszyć się nowym miejscem i nowymi przyjaciółmi. Wydaje mi się, że są znacznie lepiej przygotowane do życia. Lepiej niż inne dzieci radzą sobie ze zmianami i z budowaniem relacji z nowymi ludźmi. Są bardziej świadome siebie: swoich myśli i uczuć.

Kolejnym schematem w jaki wpadamy, jest zapewnienie dziecku edukacji na najwyższym poziomie. To z tego powodu rozważamy szkoły, które są położone daleko od domu, ale mają wyższy poziom nauczania. Rozważamy szkołę prywatną, w której dziecko będzie wśród dzieci z rodzin podobnych do naszej rodziny, gdzie wydaje się, że rodzicom zależy bardziej niż innym. Szkoły te mają też bogatą ofertę zajęć popołudniowych, dzięki czemu nie trzeba będzie dowozić dziecka na zajęcia dodatkowe. Szkoła zaopiekuje się dzieckiem do późnych godzin, kiedy w końcu rodzic wyjdzie z pracy.



Kiedy myślimy o poziomie nauczania, warto nie oczekiwać od dziecka najwyższych ocen ze wszystkich przedmiotów, ale myśleć ekonomicznie. Kilka lat temu japoński rząd zwrócił się do wyższych uczelni, aby zaprzestały edukacji na kierunkach humanistycznych. Japończycy zauważyli bowiem, że dalszy rozwój cywilizacji związany jest z przedmiotami naukowymi: matematyką, fizyką, informatyką, medycyną, chemią, biologią itp. Może my także nie powinniśmy tracić czasu i energii na przedmioty, które w przyszłości nie będą miały większego znaczenia.

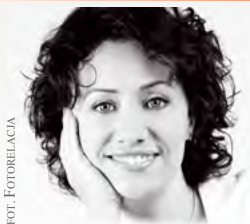
Zatem staram się ocenić rangę danego przedmiotu w życiu mojego dziecka. Jestem także matematykiem i często rozmawiam z dziećmi o matematyce. Potrafię pokazać im jej piękno. Zatem wiedzą one więcej i potrafią więcej niż inni. Kiedy więc będą ubiegać się o przyjęcie na wyższą uczelnię, to w matematyce mają największe szanse, aby pokonać konkurentów. Moje starsze dziecko uwielbiało także historię, ale głównie z powodu fantastycznego nauczyciela, z którym musiała pożegnać się przy zmianie szkoły. Zatem wybrała, że będzie studiować informatykę.

Spójrzmy na warunki przyjęcia na ten kierunek. Ocena końcowa komponowana jest na podstawie ocen z trzech przedmiotów. Ocena z matematyki waży 80%, a ocena z języka ojczystego i języka obcego ważą po 10%. Zatem nie warto przykładać nadmiernej wagi do wszystkich innych przedmiotów. W dobie tak szybkiego rozwoju nauki nie można być geniuszem ze wszystkiego. Ci, którzy tego próbują, są średni ze wszystkiego.

Szkoła prywatna jest zazwyczaj dużym wyśiłkiem finansowym. To oznacza, że rodzice muszą pracować więcej i ciężiej, nie mając czasu dla dzieci. Oddają na wychowanie dzieci obcym ludziom, a ich relacja z dzieckiem jest coraz słabsza. Alternatywą jest szkoła publiczna. Wtedy są dwa rozwiązania, aby poprawić poziom wiedzy dziecka. Rodzic mógłby towarzyszyć dziecku w nauce, co oznacza więcej czasu spędzonego razem, a więc silniejszą relację.

Drugim rozwiązaniem są zajęcia dodatkowe, które w szkole prywatnej były niemal w pakiecie. Okazuje się jednak, że te zajęcia organizowane przez szkołę są bardzo niskiej jakości. Mają one gwarantować „święty spokój” rodzicom. Dziecko, które jest zmęczone, nie jest w stanie dłużej pracować intelektualnie, ale zajęcia mają się tak nazywać, aby rodzic był przekonany, że dziecko spędza czas pożytecznie, lepiej niż z rodzicem.

Tymczasem dziecko może chodzić na zajęcia dodatkowe, ale najlepiej, aby był to jeden lub dwa tematy, specjalnie wyselekcjonowane. Powinny one zaspokajać zainteresowania dziecka lub dawać jeszcze lepszy rozwój, co przełoży się na lepsze wyniki w nauce. Do takich należy gra na instrumencie lub zajęcia sportowe. Nie powinniśmy przesadzać z ilością takich zajęć, nawet jeśli dziecko o nie prosi. Na początku roku uczeń ma dużo energii, ale już w październiku i listopadzie przychodzi kryzys. Trzeba zatem od początku zapewnić czas na odpoczynek w domu. Powinniśmy mieć też wspólny czas ze sobą, jako rodzina, abyśmy się do siebie zbliżali, a nie oddalali.



FOT. FOTORELACJA

Dr Aneta Czarska – pedagog, doradca i trener. Znana jest jako ekspert, który uczy rodziców najnowszych technik rozwoju potencjału dziecka. Z jej usług korzystają ci, którzy już uświadomili sobie, jak ważne są pierwsze lata życia dziecka dla jego dalszych sukcesów szkolnych i zawodowych. Jest jednym z nielicznych pedagogów, którzy łączą i wykorzystują najnowsze odkrycia naukowe do rozwoju inteligencji, pamięci, wyobraźni, kreatywności i naturalnych zdolności dziecka od urodzenia.

Wychowanie i edukacja domowa

„Wychowywać – to wydobywać z dziecka, przy jego jak największej i coraz bardziej świadomej współpracy, człowieka, chrześcijanina, świętego.”
(ks. Gaston Courtois).

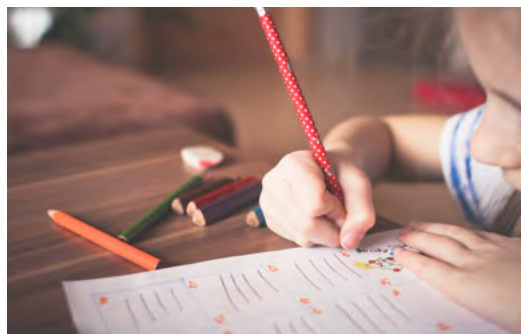
Przed nami nowy rok szkolny i po wakacyjnym odpoczynku nadchodzi czas wytężonej pracy. Jako rodzice troszczymy się o to, żeby wybrać to co najlepsze dla naszych pociech, może myślimy już o kolejnych zajęciach dodatkowych, które pomogą im się rozwijać. Pomysłów na to jest wiele, bo też różne są nasze rodziny i nasze dzieci.

Jeśli nawet mamy już plany na rok szkolny, warto znaleźć czas na refleksję i pomyśleć jakie są nasze rodzinne priorytety, co jako rodzice pragniemy przekazać naszym dzieciom, jak je chcemy wychować. Spróbujmy sobie odpowiedzieć na pytanie, po co nasze dzieci się uczą, czemu ma służyć codzienny wysiłek.

Kilka lat temu podjęliśmy z mężem decyzję o domowym nauczaniu. Mamy pięcioro dzieci, z których troje jest w wieku szkolnym. Zmieniając sposób nauczania kierowaliśmy się jako osoby wierzące szukaniem woli bożej dla naszej rodziny. Taka decyzja sprawiła, że często zadawałam sobie pytanie jak edukację włączyć w wychowanie, jak ustalić priorytety w rozwoju naszych dzieci. Na co położyć nacisk, co jest ważne bardziej a co mniej, przecież nie wszystko w jednakowym stopniu będzie im przydatne w życiu. Dla nas rodziców ważne jest, aby nasze pociechy rozwijały się harmonijnie, by wyrosły na dojrzałe osoby, które będą potrafiły wziąć odpowiedzialność za siebie i odkrywać boży plan dla swojego życia. Dlatego nie wystarczy postawić na rozwój intelektualny, bardzo ważny jest również rozwój duchowy i wewnętrzny naszych dzieci. Ważne, abyśmy pomagali dzieciom odkrywać ich talenty, te szczególne zdolności i cechy, którymi mogą służyć na bożą chwałę i pożytek ludziom.

Rodzice i dzieci tworzą relacje, zatem potrzebujemy poznawać siebie nawzajem, rodzice dzieci i dzieci rodziców, swoje temperamenty, mocne

strony charakteru. Istotna jest szczera rozmowa z czym sobie nie radzimy, co jest naszą słabością, nad którą powinniśmy pracować.



W każdej rodzinie budowanie relacji to prawdziwe wyzwanie, występują różnice wieku, charakterów, zainteresowań, każdy chce zaistnieć, bywa, że to prawdziwa próba sił. Martwimy się gdy nasze dzieci się kłócą, upierają przy swoim, ale to właśnie takie momenty są szkołą przebaczenia i zrozumienia - brat jest bratem wtedy, gdy się dobrze bawimy i wtedy, gdy nie zgadzamy się ze sobą.

By poznać swoje dzieci, potrzebujemy dużo wspólnie spędzonego czasu. Początek roku szkolnego to dobry moment na zaplanowanie takiego czasu, gdzie zamiast kolejnych dodatkowych zajęć, wieczór spędzony razem będzie ciekawszą propozycją.

W naszej rodzinie niedziela jest pod tym względem szczególna. Przyjeliśmy, że w ten dzień dzieci nie będą chodziły na żadne zajęcia dodatkowe ani nie będą się uczyły. Wszystkie aktywności i lekcje staramy się kończyć w sobotę - niedziela ma być wyjątkowa. Jest dla nas świętowaniem, które rozpoczyna wspólna Msza Św. a później mamy czas na to, co sobie zaplanujemy. Dzieci też bardzo tego pilnują, żeby swoje obowiązki skończyć dzień wcześniej. Wiedzą, że to dzień inny niż wszystkie, bo to też czas odwiedzin i spotkań w gronie rodziny lub przyjaciół.

Niedziela jest dniem, po którym nadchodzi tydzień pełen pracy.

Jest to czas bardzo intensywny, część nauki odbywa się w domu, niektóre lekcje są poza domem do tego dochodzą zainteresowania i różne inicjatywy, w które się angażujemy. Dzieci każdego dnia mają swoje określone zadania, wolniej lub szybciej (co zależy od ich systemu pracy) realizują przewidziany programem zakres materiału.

Dobrze jest na początku nauki, pomóc dzieciom poszukać odpowiedzi na pytanie: Dlaczego mam się uczyć? Po co ten codzienny wysiłek? Dzieci potrzebują poznać cel. W ubiegłym roku wypisaliśmy wspólnie cele na nadchodzący rok szkolny. Starsze miały bardzo konkretne pomysły te materialne, ale też decyzje pracy nad sobą np.: będę się starał być lepszym bratem. Młodsze rysowały obrazki, bo jeszcze nie potrafiły pisać, ale wiedziały czego chcą. Gdy na koniec roku wróciliśmy do naszych postanowień ucieszyliśmy się, że tak wiele z nich udało nam się zrealizować. To pokazało dzieciom, że warto wymagać od siebie, choć nie zawsze się wszystko udaje, to ważne, że szukamy pomysłu i próbujemy. Rodzice są pierwszym wzorem dla swoich dzieci, potrzebujemy więc wymagać najpierw od siebie, by potem wymagać od naszych pociech. Wtedy wiemy jak wiele nas to kosztuje i łatwiej jest nam przyjąć słabości naszych najbliższych.



Dzieci ucząc się, korzystają z podręczników szkolnych, gdyż na koniec semestru muszą zdać egzamin z danego przedmiotu. Czasem jednak w czasie nauki pojawiają się tematy, które szczególnie zaciekawiają i wtedy dociekamy i poszukujemy treści, które rozszerzają wiedzę. Z przedmiotów szkolnych szczególną uwagę zwracamy na język polski i historię. Według nas mają one wpływ na światopogląd jaki kształtuje się

w dzieciach. Dlatego warto podsuwać im dobre i mądre książki. Gdy nasze starsze dzieci rozpoczynają naukę historii, zdecydowaliśmy, że więcej uwagi poświęcimy historii Polski. Zależy nam na tym, żeby dzieci znały dzieje naszego narodu. Szukając i uzupełniając wiedzę podręcznikową możemy odkryć Boże prowadzenie naszego narodu, poznać wielu wielkich i świętych Polaków, których Pan Bóg wzbudzał na trudne czasy dla naszej ojczyzny.

Mówi się, że historia jest nauczycielką życia i chociaż większość wiedzy pochodzi z podręczników to prawdziwym skarbem są dla nas nasi najbliżsi świadkowie historii. Prababcia, która przeżyła wojnę, najlepiej potrafi opowiedzieć jak sobie wtedy pomagano. Co przeżywały dzieci, co było dla nich najważniejsze, kiedy trzeba było ratować ludzkie życie. Dzieci potrzebują takich przykładów, właśnie to co szlachetne i dobre naprawdę pociąga młodego człowieka. Takie słowa zapadają na długo w sercach dzieci.

Bardzo dużo uwagi zwracamy na to co dzieci czytają i oglądają. Warto kształtować u nich krytyczne myślenie, aby potrafiły z tej różnorodności wybierać to co ma wartość a rezygnować z tego, na co po prostu szkoda czasu.

Poza głównym obowiązkiem jakim jest nauka, dzieci mają jeszcze obowiązki domowe. Zależnie od wieku to przede wszystkim dbanie o porządek we własnych rzeczach i we wspólnych miejscach, z których korzysta cała rodzina. Młodsze dzieci potrzebują dużo zachęty, przypominania a czasem nakazu, starsze coraz częściej biorą odpowiedzialność i same widzą, że rodzice potrzebują pomocy i mogą zrobić coś dobrego. Na takie momenty czekamy i one dodają skrzydeł, kiedy widać, że to co przez długi czas próbujemy wyuczyć w pewnym momencie przestaje być już tylko zasadą, ale staje się własnym wyborem. Oczywiście to kosztuje, trzeba na chwile zapomnieć o sobie a zająć się czymś, co posłuży innym. Nauka odpowiedzialności i porządku potrzebna jest każdemu dziecku, chociaż długa, mozolna i nie widać od razu efektów to warto zaczynać od drobnych rzeczy. Czasem w pośpiechu rzucamy polecenia co ma być zrobione o czym nie można zapomnieć, często dzieci się wtedy buntują nie chcą tego robić, ale ➤

➤ jeśli się zatrzymamy, wytłumaczymy, wskażemy konsekwencje naszych działań to chętniej podejmy prace. W życiu codziennym doskonale widać skutki naszych drobnych decyzji. Warto na to zwracać uwagę dzieci, bo i one zaczną dostrzegać konsekwencje swojego postępowania. Ważne, żebyśmy sami byli przekonani, że te umiejętności są potrzebne i uczyli tego dzieci.

Naszym odkryciem na drodze wychowywania i edukacji było to, że nie jesteśmy z tym sami. Odkryliśmy, że Panu Bogu najbardziej zależy na dobrym wychowaniu naszych pociech, więc ufamy Mu, bo nieustannie wspiera nas swoją łaską.

Darem są dla nas zaprzysiężone rodziny, które mają dzieci w podobnym wieku jak i te bardziej doświadczone, których dzieci są już dorosłe. Prosimy ich o radę, szukamy wspólnie odpowiedzi na pojawiające się pytania i wspieramy wzajemnie w modlitwie.

Kochani rodzice i drogie dzieci, jeśli ten rok nie będzie tak udany jakbyśmy tego chcieli i nie wszystko nam wyjdzie to i tak najważniejsze jest, że wciąż szukamy sposobu, aby zmienić coś na lepsze. Pamiętajmy o naszych postanowieniach. Życzymy Wam odważnych decyzji i wyzwań oraz wiele radości z bycia razem. ■

Paweł Zdanowicz

Wakacyjne spotkania z kapliczkami, krzyżami wotywnymi i miejscami modlitwy

W tym roku Pan Bóg poprowadził nas na południowy wschód Polski w Beskid Sądecki



1

ki w okolicie Krynicy i Muszyny. Ziemia ta jest historyczną krainą Łemków. Pochodzenie tego lu-



2

du jest przedmiotem sporów naukowców. Istnieje kilka teorii pochodzenia Łemków. Ziemię, na których żyli, położone wśród pól i lasów, oddalone

były od większych miast.

Wpływy na życie miały elementy kultury: ruskiej, polskiej, włoskiej, słowackiej i węgierskiej. Zachwyceni pięknem ziemi, historycznymi śladami wiary tego ludu z wielkim zainteresowaniem

zwiedzaliśmy rozmieszczone co 3-5 km cerkwie greckokatolickie obecnie w większości

przekształcone na kościoły i kaplice rzymskokatolickie. Przy przekształcaniu cerkwi na kościoły lub kaplice zadbano o zachowanie dawnego wystroju oraz klimatu dawnych lat.

W większości wyremontowano elewacje oraz pokrycia dachów zachowując ich niepowtarzalne kształty wraz



3



4

z oryginalnymi krzyżami na zwieńczeniach kopuł.

Ciekawostką jest to, że przy remontach dachów należało tak prowadzić prace, aby nie zniszczyć siedlisk nietoperzy zamieszkujących poddasza cerkwi.

Na szlaku pomiędzy cerkwiami lub na terenie (cmentarzu) przy cerkwi spotykaliśmy wiele kapliczek, krzyży i pozostałości cmentarzy. Według opowieści przewodników oraz literatury o życiu Łemków dowiedzieliśmy się, że ich kultura mocno opierała się na wierze. Wyrazy dziękczynienia Bogu przejawiały się budową kapliczek, krzyży wotywnych: za wybudowanie domu, narodziny dziecka, dobry urodzaj lub w formie upamiętnienia śmierci swoich bliskich. Materiał, z którego budowano te obiekty świadczył o zamożności fundatorów. Drewniane krzyże i kapliczki dłużące w drewnie bądź szafkowe zmontowane z elementów drewnianych z umieszczoną wewnątrz figurką lub obrazkiem

budowali ludzie ubodzy. Nie wiele z nich zachowało się do naszych czasów. W czasie tegorocznej wędrowki nie spotkaliśmy ich na naszym szlaku. Krzyże i kapliczki z kamienia były zamawiane u miejscowych kamieniarzy fundowane były przez zamożnych gospodarzy lub społeczności wiejskiej.



5



6



7



8



9



10



11



12

Bywały również krzyże odlewane w żeliwie lub kute przez kowali z dużą ilością zdobień, ornamentów i dodatkowych figur. Budowane były na cokółkach żeliwnych lub kamiennych z wrytymi tekstami np.: „Pomiłuj nas Boże” to znaczy Przebacź (wybacź) nam Boże i często datą budowy. Krzyże żeliwne często przywożono z targów.

Na ziemi sądeckiej istnieje też forma kapliczek murowanych na rzucie kwadratu lub prostokąta. Posiadają one dachy czterospadowe zwieńczone wieżyczką, kopułą cebulastą, owalną, kulistą, na których umieszczone są kute krzyże metalowe o ozdobnych kształtach.

Do kapliczki prowadzą łukowe drzwi drewniane lub kute kraty metalowe. We wnętrzu umieszczone są figurki, obrazy, płaskorzeźby. Dewocjonalia umieszczone w kapliczkach zwykle stanowiły wyposażenie starego domu rodzinnego, ocalone były z pożarów i innych zdarzeń losowych.

W naszych wędrowkach spotkaliśmy też figurę Matki Bożej Łaskawej w Muszynie na Zapopradziu na zboczu góry Sucha ufundowaną w 1938 r. przez Annę i Jana Zagajów jako wotum za uzdrowienie ciężko chorej Anny. Na cokole istnieje napis „Przyjdźcie do ➤



13

➤ mnie wszyscy chorzy, a ja was ulecę, smutni i stroskani, a ja was pocieszę - Bom Matką Wazszą". Pod nowo wybudowanym zadaszeniem odbywają się „majówki” i modlitwy różańcowe, w których uczestniczą okoliczni mieszkańcy i ku-



14

racjusze z sąsiednich sanatoriów, którzy przybywają z różnych stron Polski. Przejmująco brzmią dźwięki Litanii Loretańskiej oraz przeróżne pieśni Maryjne, które odbijają się echem od sąsiednich zboczy gór i mieszają ze śpiewem i dźwiękami orkiestry innej grupy modlącej się na górze zamkowej.

Chciałbym też wspomnieć o Ogrodach Biblijnych, które powstały przy kościele parafialnym św. Józefa w Muszynie. Chodząc alejkami ogrodów czytamy tablice z tekstami z Pisma Świętego i oglądamy miniatury: Świątyni Jerozolimskiej, Arki Przymierza, Góry Błogosławieństw, Grobu Pańskiego i innych biblijnych miejsc oraz żywe

okazy roślinności z Ziemi Świętej.

Wszystkie te obiekty świadczą dziś o głębokiej wierze i ufności Panu Bogu dawnych i obecnych mieszkańców tych ziem.

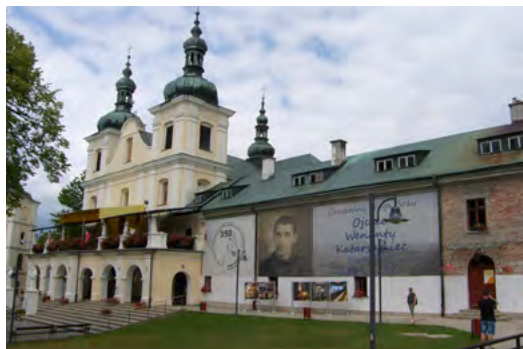
Opisy do zdjęć:

1. Cerkiew greckokatolicka św. Dymitra w Muszynie-Złockie datowana na 1867-1872.
2. Wnętrze cerkwi św. Dymitra w Muszynie-Złockiem.
3. Krzyż pogrzebowy cerkiew w Dubnem.
- 4/5. Kapliczka kamienna na drodze z Muszyny do Szczawnika z wmurowaną figurką porcelanową Matki Bożej. Fundator Miljanicz. Inskrypcja” Pomiłuj nas Boże”. Data 1925r.
6. Kapliczka kamienna z 1913 r. przed cerkwią w Szczawniku.
7. Wierna kopia kamiennej kapliczki Matki Boskiej Różańcowej z posązkami św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus z 1770 r. odtworzona w 1977 r. (Muszyna).
8. Krzyż żeliwny na cokole kamiennym przy cerkwi w Złockiem.
9. Krzyż żeliwny na cokole kamiennym przy drodze ze Złockiego do Szczawnika.
10. Cokół żeliwny pozostałość po pomniku nagrobnym z 1905 r. (Złockie)
11. Kapliczka św. Jana Nepomucena ok. 1757 r. rynek w Muszynie.
12. Kapliczka w Muszynie przy ulicy Marszałka Piłsudskiego.
13. Figura Matki Bożej Łaskawej w Muszynie na Zapopradiu.
- 14/15. Ogrady biblijne w Muszynie: miniatura Świątyni Jerozolimskiej i arki przymierza.



15

Kalwaria Pałacowska i Wenanty Katarzyniec



Tego lata zupełnie nieoczekiwanie i „przypadkowo” moje stopy stanęły na ziemi przemyskiej, gdzie góruje piękne Sanktuarium Męki Pańskiej i Matki Bożej Kalwaryjskiej. Od 1668 roku jest ono pod opieką ojców i braci franciszkanów. Założycielem i fundatorem był wojewoda podolski, historyk Andrzej Maksymilian Fredro. To niezwykle miejsce, do którego przybywają licznie pielgrzymi to Kalwaria Pałacowska z cudownym obrazem Matki Bożej Słuchającej, nazywana Jerozolimą Wschodu i Częstochową Podkarpacia.

Obraz, przed którym modlili się królowie: Jan Kazimierz, Jan III Sobieski, hetman Stanisław Żółkiewski a także kard. Karol Wojtyła, trafił do Sanktuarium z Kamieńca Podolskiego. Na ścianie obok obrazu przedstawiono wiele ilustracji ukazujących wstawiennicze działanie Matki Bożej, które zakończyło się uzdrowieniami.

Pielgrzymi z Ożarowa Maz. i okolic dotarli do Kalwarii Pałacowskiej niemal w przeddzień Wielkiego Odpustu Kalwaryjskiego (11-15 sierpnia), w pierwszą sobotę miesiąca. Właściwie od razu wszystkich nas urzekł krajobraz Karpat Wschodnich, połonina i wzgórze, na którym zbudowano

klasztor i Sanktuarium. Co ciekawe, usytuowanie Kalwarii na wzgórzach jest niezwykle podobne do krajobrazu wokół Jerozolimy. Mieliśmy możliwość zobaczyć to przemierzając Drogę Krzyżową, która ma długość ok. 1,6 km. Na wzgórzach znajduje się 35 murowanych i 6 drewnianych kaplic kalwaryjskich. Corocznie odbywają się tam Misterna Męki Pańskiej.

Po wejściu do Kościoła, zbudowanego z przeplechem na planie krzyża, nasze kroki skierowaliśmy do Matki Bożej Kalwaryjskiej, oddając Jej swoje intencje. A Ona z pięknego obrazu zdawała się ich wszystkich słuchać.

Innym miejscem, które wzbudzało zainteresowanie pielgrzymów był grób sługi bożego o. Wenantego Katarzyńca. Ten skromny zakonnik franciszkański przyciąga modlących się o pracę, lepsze zarobki, środki finansowe. Nazywany jest polskim Szarbelem. Sam jako chłopiec i młodzieniec doświadczył ubóstwa i frustracji z tym związanej. Proszący za jego wstawiennictwem otrzymują wiele łask. Ojciec Wenanty zmarł w młodym wieku mając skończone 31 lat i oczekuje na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego.

Był przyjacielem św. Maksymiliana Kolbe, którego wspierał w jego ambitnych planach związanych z Niepokalanowem, także po swojej śmierci (o. Kolbe wielokrotnie prosił w modlitwie swego współbrata o wstawiennictwo w sprawach finansowych i pomoc była skuteczna). Warto zapoznać się życiorysem człowieka, którego świętość polegała na wykonywaniu rzeczy zwyczajnych w sposób nadzwyczajny - jak wyraził się o nim św. Maksymilian Kolbe i może być przykładem wielkiej pokory i miłości do Boga i człowieka.



dem wielkiej pokory i miłości do Boga i człowieka. Polecam publikację Tomasza Terlikowskiego „Wenanty Katarzyniec – polski Szarbel”.

Oczarowanie muzyką



Jest piękna jesień 2011 roku. Jadę w sprawach zawodowych do Torunia. Jak zwykle przyjeżdżam grubo za wcześnie.

A tam – nie szkodzi – powłóczę się po toruńskiej Starówce. Nie znam jej zbyt dobrze, a przy okazji kupię sławne toruńskie pierniki. Wchodzę do sklepu, i już w jego zabytkowym wnętrzu zjadam łapczywie pierwszego. Wychodzę. Ciągłe przegryzając, unoszę powoli głowę i nie wierzę własnym oczom – przede mną stoi cudowny pomnik..., grającego skrzypka!

Podchodzę bliżej. Jest fantastyczny. Ni to pomnik, ni to fontanna. Artysta w niezwykle sugestywny sposób oddał ruch smyczka, obrócenie ciała, z nieco skrzywoną głową. Całości dodaje lekkości fakt, że rzeźbiarz „postawił” skrzypka jedynie na palcach. Na dole pomnika (fontanny) okalają

go, gotowe do skoku..., żaby! Rzeźba jest tak sugestywna, że niemal słyszę muzykę!

Szybko wyjmuję z torby szkicownik i gruby ołówek zwany – nie wiem czemu – „kubusiem”, zaczynam rysować...

Staram się skoncentrować na postaci skrzypka. Nie zauważam, kiedy podchodzi do mnie – nieco z boku – starsza, bardzo elegancka Pani. Kłaniamy się w milczeniu. Kobieta przygląda się długo mojej pracy, a na koniec mówi: – Pięknie to robisz, ale dlaczego nie malujesz żab?

Jestem mocno zaskoczony uwagą o żabach, a jeszcze mocniej tą formą zwracania się do mnie „na ty”. Za moment wyjaśni się wszystko...

– Drogie dziecko (dobre sobie – „dziecko” przekroczyło sześćdziesiątkę!), opowiem ci o historii tego pomnika...

Przed wiekami Toruń spotkało wielkie nieszczęście. Ze wszystkich możliwych stron nadciągnęły do miasta stada żab – było ich mrowie – istna plaga! Mieszkańcy nie wiedzieli co z nimi zrobić. Były na ulicach, podwórkach, ba – nawet w domach! Nie bały się ludzi, ich rechot roznosił się po całym mieście.

Przyszła wtorek. Jak zwykle w targowy dzień przychodził na rynek miejscowy grajak – istny Janko Muzykant. Grał pięknie. Ludzie chętnie wrzucali do jego zniszczonego kapelusika kolejne grosiki. Tak było i w ten wtorek, ale..., co to? Na dźwięk Janosikowych skrzypiec zewsząd zaczęły zbierać się na ryneczku zasłuchane w jego muzykę..., żaby! Gołym okiem było widać, że muzyka ich urzekła, wręcz – oczarowała.

W tej sytuacji Jaśko zamierzał zakończyć granie. Trochę grając, trochę nucąc, zaczął kierować się w stronę bram miasta. Ale co to? Za Jasiem muzykantem – zauroczone jego muzyką – zaczęły wychodzić... wszystkie żaby z miasta! I tak – ha, ha, ha – drogie dziecko pozbyliśmy się żab! Jedyne co musieliśmy zrobić, to z wdzięczności postawić Jasiowi pomnik. To jak – namalujesz te żaby?

Niestety – na moim obrazie jest tylko Janko, ale za to obraz wisi w mieszkaniu jednego z największych (talentem – nie wzrostem) polskich aktorów. ■

Kalendarz liturgiczny

Wrzesień 2019

1	Dwudziesta Druga Niedziela zwykła Syr 3, 17-18. 20. 28-29; Ps 68 (67), 4 i 5ac. 6-7b. 10-11; Hbr 12, 18-19. 22-24a; Mt 11, 29ab; Łk 14, 1. 7-14
2	Dzień powszedni Tes 4, 13-18; Ps 96 (95), 1 i 3. 4-5. 11-12. 13; Łk 4, 18; Łk 4, 16-30
3	Wspomnienie św. Grzegorza Wielkiego, papieża i doktora Kościoła 1 Tes 5, 1-6. 9-11; Ps 27 (26), 1bcde. 4. 13-14; Łk 7, 16; Łk 4, 31-37
4	Dzień Powszedni Kol 1, 1-8; Ps 52 (51), 10-11; Łk 4, 18; Łk 4, 38-44
5	Dzień Powszedni Kol 1, 9-14; Ps 98 (97), 2-3b. 3c-4. 5-6; Mt 4, 19; Łk 5, 1-11
6	Dzień Powszedni Kol 1, 15-20; Ps 100 (99), 2-3. 4-5; J 8, 12; Łk 5, 33-39
7	Wspomnienie Najświętszej Maryi Panny Kol 1, 21-23; Ps 54 (53), 3-4. 6 i 8; J 14, 6; Łk 6, 1-5
8	Dwudziesta Trzecia Niedziela zwykła Mdr 9, 13-18; Ps 90 (89), 3-4. 5-6. 12-13. 14 i 17; Flm 9b-10. 12-17; Ps 119 (118), 135; Łk 14, 25-33
9	Dzień Powszedni Kol 1, 24 – 2, 3; Ps 62 (61), 6-7. 9; J 10, 27; Łk 6, 6-11
10	Dzień Powszedni Kol 2, 6-15; Ps 145 (144), 1b-2. 8-9. 10-11; J 15, 16; Łk 6, 12-19
11	Dzień Powszedni Kol 3, 1-11; Ps 145 (144), 2-3. 10-11. 12-13; Łk 6, 23ab; Łk 6, 20-26
12	Wspomnienie Najświętszego Imienia Maryi Kol 3, 12-17; Ps 150, 1b-2. 3-4. 5-6a; 1 J 4, 12bcd; Łk 6, 27-38
13	Wspomnienie św. Jana Chryzostoma, biskupa i doktora Kościoła 1 Tm 1, 1-2. 12-14; Ps 16 (15), 1b-2a i 5. 7-8. 11; J 17, 17ba; Łk 6, 39-42
14	Święto Podwyższenia Krzyża Świętego Łb 21, 4b-9; Ps 78, 1-2. 34-35. 36-37. 38; Flp 2, 6-11; J 3, 13-17
15	Dwudziesta Czwarta Niedziela zwykła Wj 32, 7-11. 13-14; Ps 51 (50), 3-4. 12-13. 17 i 19; 1 Tm 1, 12-17; 2 Kor 5, 19; Łk 15, 1-32

16	Wspomnienie świętych męczenników Korneliusza, papieża, i Cypriana, biskupa 1 Tm 2, 1-8; Ps 28 (27), 2. 7. 8-9; J 3, 16; Łk 7, 1-10
17	Wspomnienie św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, biskupa 1 Tm 3, 1-13; Ps 101 (100), 1b-2b. 2c-3b. 5-6; Łk 7, 16; Łk 7, 11-17
18	Święto św. Stanisława Kostki, zakonnika Mdr 4, 7-15; Ps 148, 1-2. 11-13a. 13c-14; 1 J 2, 12-17; Mt 5, 8; Łk 2, 41-52
19	Wspomnienie św. Januarego, biskupa i męczennika 1 Tm 4, 12-16; Ps 111 (110), 7-8. 9. 10; Mt 11, 28; Łk 7, 36-50
20	Wspomnienie świętych męczenników Andrzeja Kim Taegon, prezbitera, Pawła Chong Hasang i Towarzyszy 1 Tm 6, 2c-12; Ps 49 (48), 6-7. 8-10. 17-18. 19-20; Mt 11, 25; Łk 8, 1-3
21	Święto św. Mateusza, apostoła i ewangelisty Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19, 2-3. 4-5; Mt 9, 9-13
22	Dwudziesta Piąta Niedziela zwykła Am 8, 4-7; Ps 113 (112), 1b-2. 4-6. 7-8; 1 Tm 2, 1-8; 2 Kor 8, 9; Łk 16, 1-13
23	Wspomnienie św. Pio z Pietrelciny, prezbitera Ezd 1, 1-6; Ps 126 (125), 1b-2b. 2c-3. 4-5. 6; Mt 5, 16; Łk 8, 16-18
24	Dzień Powszedni Ezd 6, 7-8. 12b. 14-20; Ps 122 (121), 1b-2. 4-5; Łk 11, 28; Łk 8, 19-21
25	Dzień Powszedni Ezd 9, 5-9; Tb 13, 2abcde. 3-4a. 4bcd. 5. 8; Mk 1, 15; Łk 9, 1-6
26	Wspomnienie świętych męczenników Kosmy i Damiana Ag 1, 1-8; Ps 149, 1b-2. 3-4. 5-6a i 9b; J 14, 6; Łk 9, 7-9
27	Wspomnienie św. Wincentego à Paulo, prezbitera Ag 1, 15b – 2, 9; Ps 43 (42), 1. 2. 3. 4; Mk 10, 45; Łk 9, 18-22
28	Wspomnienie św. Wacława, męczennika Za 2, 5-9. 14-15a; Jr 31, 10. 11-12ab. 13; 2 Tm 1, 10b; Łk 9, 43b-45
29	Dwudziesta Szósta Niedziela zwykła Am 6, 1a. 4-7; Ps 146, 6c-7. 8-9a. 9bc-10; 1 Tm 6, 11-16; 2 Kor 8, 9; Łk 16, 19-31
30	Wspomnienie św. Hieronima, prezbitera i doktora Kościoła Za 8, 1-8; Ps 102, 16-18. 19-21. 29 i 22-23; Mk 10, 45; Łk 9, 46-50

Terminarz Parafialny

MSZE ŚWIĘTE

niedziele i święta: 7.00, 9.00, 10.30 (dla rodzin),
12.00 (suma), 15.00 (z koronką),
18.00 (dla młodzieży), 20.00
dni powszednie: 7.00, 15.00 (z koronką), 18.00

SAKRAMENT POJEDNANIA

podczas każdej Mszy św.

NABOŻEŃSTWO DO BOŻEGO MIŁOSIERDZIA

codziennie o 15.00 (transmitowane
przez TV Misericordia)

ADORACJA NAJŚWIĘTSZEGO SAKRAMENTU

codziennie 16.00-18.00

I CZWARTKI MIESIĄCA:

– Msza św. w intencji powołań
kapłańskich, zakonnych i misyjnych: 18.00

I PIĄTKI MIESIĄCA:

– nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana
Jezusa po Mszy św. o 7.00
– odwiedziny chorych od 9.00

I SOBOTY MIESIĄCA:

– Msza święta i nabożeństwo o 10.00

NABOŻEŃSTWA FATIMSKIE

13 – każdego miesiąca od maja
do października o 18.00

KANCELARIA PARAFIALNA:

wtorek-piątek: 8.30-10.00, 17.00-18.00

sobota: 8.30-10.00

SPOTKANIA GRUP

W SALKACH PARAFIALNYCH:

Zywy różaniec:

pierwsza niedziela miesiąca – 16.00

Akcja Katolicka:

co drugi wtorek po Mszy św. wieczornej

Grupa Charytatywna:

spotkania: raz w miesiącu w środy

dyżury: wtorki 16.00-18.00 w magazynie

Wspólnota Faustinum:

trzecie piątki miesiąca – 18.30 Wspólnota

Krwi Chrystusa:

czwartki po adoracji

Przyjaciele Oblubieńca:

wtorki – 19.00

Ruch Rodzin Nazaretzańskich:

poniedziałki po Mszy św. o 18.00

Domowy Kościół:

czwartki – 18.00

Lektorzy: soboty – 10.00

Ministranci: soboty – 11.00

Pallotyńskie Nutki:

soboty – 14.00



... do Łagiewnik

